

1863

TAJEMNICA STAREGO DWORU



WYDAWNICTWO KSIĘGARNI Z. LISOWSKIEGO
W WARSZAWIE

TAJEMNICA STAREGO DWORU

POWIEŚĆ DLA MŁODEGO WIEKU

OPR. JADWIGA CHRZĄSZCZEWSKA

Z RYSUNKAMI
JÓZEFY BŁESZYŃSKIEJ.

WYDANIE DRUGIE.



WARSZAWA
KSIĘGARNIA J. LISOWSKIEJ.

L 578.
*Gzwarda Publiczna 7-mio-klasowa
Szkoła Powszechna w Gnieźnie*

127
28. 517



88373

DRUK. ST. NIEMIRY SYN I S-KA
WARSZAWA, PL. NAPOLEONA 4.
TELEFON 76-40.



K-183/28/94724

I

Była godzina przedobiednia. W dużym, jasnym pokoju znajdowała się mamusia i troje dzieci. Mamusia coś szyła, najstarszy, czternastoletni Stef wsunął się w kąt pod oknem i pograżył w czytaniu, a dwie panny, Anka i Krysia, siedziały przy dużym stole, stojącym na środku pokoju. Anka, uczenica drugiej klasy, właśnie poprzedniego dnia skończyła lat jedenaście, a czy była dobra czy zła, rozumna lub odwrotnie, to sobie każdy, nieco później, sam powie.

Obecnie, Anka jak na osobę tego wieku i stanowiska przystało, rozłożyła przed sobą jakąś książkę, podparła głowę rękami i pograżyła się w czytaniu, zasłoniwszy uszy.

— Żeby mi tylko ten hałas nie przeszkadzał, ja tak lubię ciszę... — oznajmiła wszystkim.

Tymczasem w pokoju zapanowała cisza jakby „makiem zasiał“. Przerywał ją tylko od czasu do czasu szczebiot małej Krysi, która układała nową łamigłówkę, mrucząc przytem coś do siebie bez ustanku.

Łamigłówka widocznie zajmowała także „pannę Ankę“, bo przez palce wysyłała co chwila spojrzenie w stronę siostrzyczki. Co chwila też słysząc było półgłosem różne rady wypowiedane przez osobę „miłującą ciszę“.

— Ach, jakaś ty niemądra, Krysiu, to nie ten kwadracik położyć trzeba tylko tamten. Albo też:

— Sto razy ci mówiłam, że układanie zaczyna się od środka, a nie od boków...

— Cicho bądź. Daj mi pokój, Anko! Ja chcę sama. Sama! Nie patrz! — broniła się Krysia, rozstawiając u obu rąk paluszki, by zasłonić leżącą na stole Łamigłówkę.

— Kiedy ja muszę pomóc — od tego jestem starsza. Patrz, znowu omyliłaś się; weź ten trójkąt i połóż go, ot tak...

— Aniu, nie podpowiadaj mi... Ja chcę sama układać, zupełnie sama — prosiła płaczliwym głosem dziewczynka.

Bez skutku jednak, bo starsza siostra odpowiadała uparcie:

— Kiedy ja muszę się tobą opiekować.

— Dlaczego? Nie chcę twej opieki.

— Takie „bębny“ jak ty bez opieki obejść się nie mogą.

Tego już było za wiele. Nazwa „bęben“ za nadto obraziła Krysię. Dziewczynka zerwała się od stołu, rozsypawszy przytem na wpół już ułożoną

Łamigłówkę — co ją takim napełniło żalem, że łzy trysnęły z jej oczu.

— Beks! Wstyd! „Maże się“, jakby miała trzy lata! — dał się słyszeć bardzo wyraźny sepet panny Anki.

Niewiadomo jakie byłoby zakończenie tej sprawy, zapewne niekoniecznie miłe dla jednej strony, gdy nagle drzwi otworzyły się i do pokoju wszedł tatuś.

Wszyscy wiedzieli, że tatuś cały dzień zajęty, naprawdę lubi spokój i naprawdę go potrzebuje, to też nadchodząca burza domowa odrazu przeszła bez śladu.

Tatuś widocznie nie zauważył ani łez w oczach Krysi, ani zaczerwienionej jak piwonja „panny Anki“, bo wesoło oznajmił:

— Przynoszę wam miłą wiadomość i całkiem nieoczekiwaną. Ucieszycie się...

„Miła wiadomość“. „Ucieszycie się“. Kogóżby nie zajęły te słowa? Któż, słysząc je, pamiętałby o jakichś tam sporach przy Łamigłówce? Nikt naturalnie.

To też obie dziewczynki skoczyły do ojca.

— Co takiego, tatusiu? Jaka wiadomość? Proszę powiedzieć prędko.

— Otrzymałem list od ciotki Izy z Borucina. Posłuchajcie co pisze.

I tatuś zaczął czytać koniec listu.

„Wiesz, kochany bracie, w jakim stanie znalazłam nasz stary dwór boruciński po powrocie do kraju. Zupełna ruina. Trzeba go było z gruntu do porządku doprowadzić — co też i zrobiłam. Teraz więc spieszę z wielką radością, zaprosić was do siebie w gościnę, na letnie miesiące.

— Ach jak to dobrze! Jaka ta ciocia Iza kochana! — zawołały dzieci.

A Krysia zadecydowała:

— Jedźmy zaraz jutro, tatusiu. Zaraz.

— No, no, zbyt prędką jesteś moja panno — zaśmiał się tatuś. — Posłuchajcie wprzód listu do końca.

„Jedna jest tylko bieda. Nie mogę całego tego czasu spędzić z wami. Doktór koniecznie wysyła mnie do wód na kurację. A złożyło się dla mnie tak szczęśliwie, że znajoma moja i przyjaciółka także do tych samych wód jedzie. Będę więc miała potrzebną opiekę. Z dniem wyjazdu stosować się jednak do niej muszę — nastąpi on za jakie ośm, dziesięć dni. Proszę więc was usilnie, przyjeżdżajcie jak najprędzej. Pragnęłabym nacieszyć się wami i ułatwić zagospodarowanie. Pamiętajcie tylko przywieźć ze sobą służącą, bo moja stara Kasia jedzie z nami.

„Do rychłego widzenia — tymczasem śle wam serdeczny uścisk“

Kochająca siostra.

Skończył tatuś czytanie listu i zapytał:

— No i cóż, dzieciaki? Macie ochotę jechać?

— Naturalnie, że mamy! I jaką jeszcze! — zadecydowała za wszystkich Anka.

A Krysia skacząc i klaszcząc w dłonie, wołała:

— Na wieś, tatusiu złoty! Jak najprędzej jedźmy na wieś, tatusiu!

Tylko Stef ani słowa nie powiedział. Nikogo to jednak nie zdziwiło — wszyscy wiedzieli, że był „mruk nad mrukami“.

— Co też mamusia na to mówi? — zapytał tatuś.

Mamusia uśmiechnęła się.

— Cieszę się również bardzo. Dzieci mogłyby zaraz jechać. Tylko kto je odwiezie? Zapomniałeś, że za kilka dni przeprowadzka na nowe mieszkanie. Nim się wszystko skończy, sporo czasu upłynie.

— Ach to prawda. Zapomniałem.

Twarze dziewczynek przeciągnęły się, a Krysi usteczka zadrżały — lecz Anka spojrzała na nią surowo.

— Już zaczynasz beki — szepnęła. — Płaksa szkaradna...

Tatuś tymczasem pytał mamy.

— Czy dzieci będą potrzebne przy przeprowadce?

— Nie. Cóż znowu? Stef jeden przydałby się, lecz „małe“ przeszkadzałyby tylko, A może ty mógłbyś je odwieźć?

— W żaden sposób. Wypada mi w tych dniach ważna sprawa w sądzie. Pilnować jej muszę. Później za to z pewnością do was na parę dni wpadnę. Ja tak lubię stary dwór boruciński!

— To tatuś go zna? — spytała Krysia.

— I jak jeszcze. Przecież to moje miejsce rodzinne. Zawsze z rodzeństwem przyjeżdżaliśmy tam do dziadków na święta. Dziadek oprowadzał nas po całym domu, pokazywał wszystkie jego dziwy i tajemnice.

Na wzmiankę o dziwach i tajemnicach, Krysia aż skoczyła.

— Co za dziwy? Jakie tajemnice, tatusiu?

— A przeróżne. Nie brak ich było w starym dworze. Opowiadałem już raz o nich kilka razy. Czy nie pamiętacie? No, Anko...

— Tak coś niecoś, tatusiu.

— A o tajemniczym naszyjniku także nic nie pamiętasz?

— Tylko „piąte przez dziesiąte“.

— No to przed wyjazdem jeszcze raz wszystko wam powtórzę.

— Zaraz, teraz powiedz nam, tatusiu — zaczęła prosić Krysia.

— Nie, dziecko, teraz nie mogę. Praca mnie czeka. Dziś wieczorem pomówimy jeszcze o wyjeździe. Trzeba koniecznie znaleźć jaką radę na to, żebyście pojechali.

I tatuś wyszedł z pokoju.

II

Całej tej rozmowie Stef przysłuchiwał się uważnie, ale jak zwykle, w głębokim milczeniu. Parę razy otwierał usta jakby chcąc coś powiedzieć, nie wyrzekł jednak ani słowa.

Dziewczynki zato, podniecone usłyszana wiadomością, mówiły jedna przed drugą.

„Panna Anka“, widocznie zapomniawszy o swej powadze przyszłej drugoklasistki, na wyścigi z Krysią robiła różne plany co do spędzenia czasu na wsi, a głównie przyspieszenia chwili wyjazdu. Nawiasem mówiąc, jeden był mądrzejszy od drugiego — ma się rozumieć w odwrótnem znaczeniu tego wyrazu.

Wszyscy znajomi, kolejno mieli być proszeni o odwiedzenie ich w Borucinie, wszystkie starsze koleżanki Anki i t. p. Wreszcie przyszło im do głowy napisać do ciotki Izy list, żeby sama po nie przyjechała.

Ten ostatni pomysł był własnością Anki. Uznała go też za najlepszy.

— Zaraz w tej chwili napiszę — zawołała, — i napiszę tak, że ciocia za parę dni będzie tu z pew. nością.

Dla uskutecznienia tego zamiaru dziewczynki wyszły do drugiego pokoju, a po chwili za nimi wysunął się Stef, zaproszony przez Ankę łaskawymi słowami:

— Chodź i ty. Może przydasz się na co. Przypuścimy cię do narady.

Czy była narada i jaka, to mniejsza, dość, że trwała niedługo, że odbyła się spokojnie, co niezawszę zdarzało się i że po jakimś czasie Stef i Anka z bardzo poważnemi minami zbliżyli się do mamusi.

Za nimi figlarnie uśmiechnięta szła Krysia.

Pierwszy głos miała Anka.

— Mamusiu — zaczęła — przychodzimy z wielką prośbą... Stefowi przyszła taka myśl do głowy... to jest właściwie nie Stefowi samemu... bo ja też chciałam... to jest — poprawiła się — Stef chciał... czyli wszyscy chcieliśmy... Mamusia już wie...

— Nic a nic z tego nie rozumiem, moje dziecko. Mów wyraźnie. Albo może niech Stef powie o co chodzi?

— Nie, nie, już ja sama lepiej... Ja tylko chciałabym, żeby mamusia wiedziała, że to nie on sam, i my także...

— Ale co?

— Że to nie on wymyślił. Bo i nam też to przychodziło na myśl, to jest mnie tylko...

— Ale co wam przychodziło na myśl? Co Stef wymyślił?

— A to, żebyśmy tam sami jechali...

— Co? Gdzie? Stef, wytłumacz, czego chcecie.

— Przyszliśmy prosić rodziców, żeby nam pozwolili samym pojechać do ciotki lzy — spokojnie powiedział Stef.

— Czy to twój pomysł?—Tak... To jest wspólny — uśmiechnął się lekko.

— Wspólny, wspólny — z zapalem potwierdziła Anka.

I Krysia zawołała:

— A jakże. My z Anką to samo myślałyśmy, tylko nie zdążyłyśmy powiedzieć jeszcze...

— Aha, nie zdążyłyście... Zresztą wszystko jedno czyj pomysł, dość że jest niezły... Droga trwa niedługo, sześć czy siedem godzin zaledwie... Nigdzie przesiadać się nie trzeba... Może i dałoby się to zrobić?... Stef jest taki rozważny, zaopiekowałby się wami.

— Nami? — Anka skoczyła jak oparzona. Chyba Krysia, chciała mamusia powiedzieć... Ja już opieki nie potrzebuję... Kto za trzy, czy tam cztery lata będzie miał lat piętnaście...

— Ale kto teraz dopiero jedenasty zaczął — przerwała mama, ten jeszcze sam sobą rządzić nie potrafi... No, no, nie marszcz się moja ty dorosła osobo...

— Wiem, że jeszcze nie jestem dorosła — odrzekła Anka tonem pełnym godności, — to też słucham mamusi, tatusia i osób zupełnie dorosłych, ale żeby taki Stef... trochę starszy...

— No tak, prawie o cztery lata — wtrąciła mama z uśmiechem.

— Wielka mi rzecz cztery lata — i panna Anka pogardliwie wydeła usteczka. Mamusia jest przecież od tatusia o dziesięć lat młodsza, a sama robi co chce... Ja też nie mogę zgodzić się na to, żeby Stef nademną przewodził.

— I ja nie — cienkim głosem przytwardziła Krysia.

Mamusia pogroziła im palcem.

— No i widzicie. Jeszcze projekt nie przyjęty, a już są spory. Czy Stef nie rozsądniejszy od was? Wy napadacie na niego, a on milczy. Dość już jednak. Wszystko jedno czyj to projekt, ale niezły. Zobaczmy, co tatuś o nim powie. A nuż się nie zgodzi?

Lecz właśnie tatuś zgodził się chętnie.

— Bardzo dobrze — rzekł do mamy. — Niech się dzieci po trochu przyzwyczajają do samodzielności. Zresztą Stefowi zaufać można. Jego samego wysłałbym bez chwili namysłu, chodzi tylko o dziewczynki — ale on się nimi zaopiekuje...

Zadecydowano więc wyjazd jak najszybszy, bo szkoda każdego dnia straconego latem w mieście, zaczęto omawiać różne szczegóły wyjazdu

i natychmiast wysłano do ciotki Izy krótką depezę o konie, na dzień taki a taki.

Wieczorem tegoż dnia tatuś zabrał Stefa do swego gabinetu „na słówko“.

„Słówko“ trwało dość długo.

— Widzisz Stef — rzekł mu tatuś na zakończenie rozmowy — ty jak się zaczytasz, to o Bożym świecie zapominasz, a tu trzeba mieć oko na siostrzyczki i pamiętać o nich.

— Będę pamiętał ojcie. Przyrzekam ci to.

— Bardzo dobrze. Ufam twemu słowu. Ale jeszcze jedno. Wiesz, że Anka ma „poprawkę“ z francuskiego. Przez wakacje matka miała jej dawać codziennie godzinę lekcji. Ty jesteś mocny we francuskim, czy podejmiesz się matkę zastąpić przez jakie dwa tygodnie?

Stef zamyślił się.

— Trudno trochę to przyjdzie. Anka nie zechce mnie słuchać.

— Już ja to biorę na siebie. Matce bardzo chodzi, by lekcji nie przerywać, bo Anka niema zdolności do języków.

— Jeżeli tylko Anka zechce, codziennie będę miał z nią godzinę lekcji, albo nawet i dłużej — uroczysto wyrzekł Stef.

— Dziękuję ci, mój chłopcze. Wszystko zatem załatwione. Powtarzam, wierzę ci i ufam zupełnie. Pamiętaj, tobie powierzam siostry w opiekę.

Zaraz po zapadłej decyzji wyjazdu, cała trójka,

nie wyłączając poważnego Stefa, zabrała się do pakowania swoich manatków z takim zapałem, że do wieczora, wprowadzie z pomocą mamy, lecz wszystko prawie było gotowe.

To też następne dnia, który był wigilią wyjazdu, nic już nie pozostało do roboty. Stef jak zwykle, siedział nad swą ulubioną książką, ale Anka i Krysia chodziły z kąta w kąt po całym mieszkaniu i wzdychały, każda z innego powodu — Anka, że musiała zgodzić się na owe lekcje ze Stefem, a jej siostrzyczka, że czas tak wolno płynie.

— Chyba tego jutra nigdy nie będzie? — mówiła.

— Czy ci nie żal zostawiać mamę i tatusia?

Dziewczynka zmieszana się, zaraz jednak odparła rezolutnie:

— Trochę żal, trochę nie. Przecież mamusia zaraz przyjedzie, a tatuś też potem. Ja dla mamusi kwiatków nasieję.

— Akurat czekali tam na ciebie ze sianiem kwiatów.

— To tam jest ogród?

— Naturalnie. Czyś ty widziała dom na wsi bez ogrodu?

Co prawda Krysia nigdy jeszcze na „prawdziwej wsi“ nie była, tylko zawsze na letnisku w lesie, więc też nie umiała siostrze dać odpowiedzi, tylko znowu zaczęła wypytywać:

— A czy ten ogród jest duży? A dom jaki jest? Ile w nim pokoiów? Czy są psy, koty?

— Nie wiem. Zobaczysz sama. Nigdy tam nie byłam — opryskliwie trochę odpowiadała Anka. Lecz Krysi to nie zrażało...

Naraz przypomniała sobie o tajemniczym naszyjniku i skoczyła do brata z prośbą, żeby jej coś o nim opowiedział.

— Kiedy ja sam dobrze nie pamiętam — bronił się Stef.

— To nic. Opowiesz co wiesz. Resztę przypomnisz sobie — nalegała.

Lecz Stef rzeczywiście zapomniał, rzekł więc:

— Słuchaj Krysiu. Idź najlepiej do tatusia, on ci wszystko opowie.

„Pannie Krysi“ w to graj.

— Naturalnie, że pójde — zawołała. — Tatuś jest właśnie w swoim gabinecie na górze. Pójde, poproszę, przypomnę, że nam obiecał wszystkiutko opowiedzieć...

— To może i my poszlibyśmy także? Co Stef, jak myślisz? — wtrąciła Anka.

Stef zamknął książkę. Był również ciekawy opowieści o starym dworze.

— Chodźmy — rzekł.

Poszli więc całą trójką. Panna Krysia na czele pędziła po schodach, aż dudniało, ale na ostatnim stopniu opuściła ją odwaga.



— A może tatuś śpi? A może zajęty? — szepnęła. — Lepiej ty zastukaj, Anko... Tyś starsza...

Wiedziała Kryśia czem przypodobać się siostrzyczce, wiedziała, że ona lubi kiedy ją nazywają starszą...

To też Anka zgodziła się odrazu na zastępstwo. Puk, puk do drzwi... Puk... puk...

— To my, tatusiu. To my.

Dzwi otworzyły się.

— A! Szanowna trójka! — zawołał tatuś wesóło. — Czego chcecie dzieciaki?

Teraz Kryśia skoczyła naprzód i „jednym tchem“ wyrecytowała po co przyszli.

Tatuś uśmiechnął się do córeczki.

— Co prawda, nie mam zbyt wiele czasu, ale trudno, słowo się rzekło, dotrzymać trzeba. Chodźcie na gawędkę.

Czwarta Publiczna 7-mio-klasowa
Szkoła Powszechna w Gnieźnie
Nr. dz.

III

Kiedy „trójka“ usadowiła się już, jak tam komu wypadło i ojciec miał zacząć opowiadanie, Stef, który zawsze musiał wszystko doskonale zrozumieć, naraz zapytał:

— Proszę ojca, czy Borucin to własna wiesć ciotki Izy?

— Nie, mój chłopcze. Do ciotki należy tylko duży stary dwór z dużym ogrodem. Dawniej była to ogromna posiadłość, ale stopniowo sprzedawano ziemię włościanom, aż w końcu pozostał tylko ten kawałek, który, jak mówiłem, należy do mej ciotecznej siostry Izy... Czy rozumiesz mnie, Kryśiu?

— Naturalnie, że rozumiem, ale... ale mnie najwięcej chodzi o te różne tajemnice i dziwiny... Umieram z ciekawości.

— Umierasz? Doprawdy?... No to poczekaj trochę, zaraz o tem usłyszysz. Otóż mój dziadek był wielki figlarz i żartowniś. Do późnych lat swego życia lubił płać figle, naturalnie nieszko-

dliwe i w starym domu pourządzał różne zasadzki na nieuważnych i łatwowiernych.

Krysia, słysząc o figlach i zasadzkach, aż podskoczyła na krzesło z wielkiej uciechy i zaczęła wołać, klaszcząc w ręce:

— Ach tak, tak! Niech nam tatuś o tych figlach jak najprędzej opowie!

— Cicho bądź, Krysiu. Jesteś niezdolna, ciągle przerywasz tatusiowi — wystąpiła Anka z napomnieniem.

— Nic nie szkodzi — uśmiechnął się tatuś i tak opowiadał dalej:

— Otóż pamiętam doskonale z czasów mego dzieciństwa, że w sieni, w Borucinie, tuż przy drzwiach wschodowych, stał naturalnej wielkości murzyn drewniany, w ponsowym fezie na głowie. Murzyn wyglądał jak żywy, jedną rękę opierał na stojącym obok krzesle, w drugiej trzymał tackę drewnianą. Krzesło było wygodne, zachęcało do spoczynku, lecz niechcino ktokolwiek usiadł na niem natychmiast siedzenie spuszczało się na dół i nieostrożny gość znajdował się na ziemi.

— A z tacką co się robiło, tatusiu? — spytała Krysia.

— Coś trochę podobnego. Skoro na tacce położono choćby najmniejszy drobiazg, wnet odsłaniała sprężyna i tacka wędrowała w górę, prawie pod sam sufit.

— Ha, ha, ha! — zaśmiały się dziewczynki. — To dopiero musiało być zabawne.

— No i co więcej? No i co więcej? — dopytywała się najmłodsza.

— Nie brakło tam przeróżnych figlów w tej sieni. W jednym kącie naprzykład stał sobie spokojnie wypchany niedźwiedź w zwykłej swej, na czterech nogach postawie. Wystarczyło jednak, by kto stąpnął na tę część posadzki, na której umieszczono niedźwiedzia, a natychmiast zwierzę, mruczając głośno, podnosił się na tylne nogi, przednie zaś przed siebie wyciągał, jakby chcąc objąć i zdusić śmiałka.

— Oj oj! — zawołała Krysia. — Dopiero byłabym uciekała z tej sieni!

— Kiedy wszyscy doskonale wiedzieli, że to tylko zręczna sztuka. Mimo tego jednak pamiętam, że przestraszył przejmował mnie, ile razy niedźwiedź, otwierając paszczę, podnosił się zwolna...

Tatuś zamyślił się, a później wstał, chcąc widocznie zakończyć rozmowę, lecz Krysia chwyciła go za rękę.

— Mój tatusiu, mój złocisty — prosiła — jeszcze trochę nam opowiedz, jeszcze troszeczkę.

Tatuś spojrział na zegarek.

— Pozostał mi zaledwie kwadrans czasu. No, ale go wam daję... Otóż słuchajcie. U sufitu zawiesił dziadek orła z rozpostartymi skrzydłami. Skoro kto stanął na posadzce, w prostej linii pod

orłem, zaraz sprężyna zaczynała działać i orzeł w oka mgnieniu spadał na głowę znajdującej się pod nim osoby.

Na ścianach znowu wisiały klatki, a w nich wypchane ptaki, z ukrytymi pośrodku pozytywkami. Zdarzało się, że jaki gość, chcąc obejrzeć ptaka zbliższy, brał go do ręki, aż tu ptak otwierał dzióbek i zaczynał śpiewać lub gwizdać.

— I to wszystko były pomysły dziadunia? — spytał Stef.

— Nietylko pomysły, ale i robota. Z dziadka był majster co się zowie. Sam wymyślił i sam zrobił krzesło z ukrytym wewnątrz mechanizmem tak zręcznym, że niechno kto usiadł na niem, krzesło zaczynało się jak huśtawka bujać naprzód i w tył, najpierw wolno, potem coraz prędzej. Urządził też dziadek sztuczne łóżko, które nakreślało się jak zegarek na pewną oznaczoną godzinę. Zwykle ślano na niem pościel dla kogoś, kto po raz pierwszy gościł w domu.

Otóż spał on sobie, taki gość jak najlepiej, gdy nagle w nocy budzi go jakaś muzyka i biedak czuje, że z łóżkiem het, aż pod sufit leci. Miłe przebudzenie, nieprawdaż?

— No, niebardzo — zaśmiały się dzieci.

A tatuś mówił...

— Już to zręczny był dziadek nadzwyczajnie do wszystkich robót. Ileż to razy wpadaliśmy całą bandą do biblioteki, gdzie zwykle przesiadywał,

prosząc o zreperowanie czegoś. Nie odmówił nigdy. Nawet dzieci przybyłe do nas w odwiedzinę przynosiły różne swoje graty do naprawy.

Krysia, słysząc te słowa, westchnęła i zawołała:

— Ach mój Boże! Jaka szkoda!

— Czego szkoda, Krysiu?

— A to, że dziadunia już niema. Ja mam tyle zabawek popsutych. Wszysciutkie byłabym mu zawiozła!

Tatuś i rodzeństwo zaśmieli się, Anka zaś spytała:

— Czy te różne sztuczne rzeczy, o których tatuś mówił, są jeszcze w Borucinie?

— Tego nie wiem, moje dziecko. Zapewne popsuty się... Ja już od wielu lat tam nie byłem... Ale jeden figielek dziadunia nie uległ zniszczeniu, to napewno powiedzieć wam mogę.

— Co takiego, tatusiu?

— Rzecz na pozór bez wartości. Po śmierci dziadka znaleziono w jego biurku małe pudełeczko rogowe, misternie rzeźbione, a w pudełeczku sznur dziwacznych paciorków.

— Dlaczego dziwacznych? — spytały dzieci.

— Bo paciorki są z drzewa, dziadka roboty, pomalowane dość brzydko w różne kolory i deseń. Na paciorkach leżał papier z czterowierszem skreślonym i ułożonym również przez dziadka. Kiedyś umiałem ów czterowiersz na pamięć... Pocekajcie, może sobie przypomnę.

I tatuś zaczął mówić wolno:

„Naszyjnik ten ważną tajemnicę powie

„Temu, kto jest ciekawy i ma rozum w głowie...
— A dalej! Co dalej, tatusiu? — zawołały dzieci, gdy ojciec zatrzymał się.

— Zaraz, zaraz... Przypominam sobie... Aha, już wiem... Słuchajcie!...

„Jest on kluczem ukrytym. Znajdźcie klucz do klucza.

„Tak was, wnuki kochane, wasz dziadek naucza“.

— Jest on kluczem ukrytym... Co to znaczy — szepnęła Stef do siebie.

Anka zaś powtórzyła cały czterowiersz kilka razy i zapytała:

— No i cóż więcej, tatusiu?

— Już niewiele. Z początku myślano, że to zwykły figiel i do treści nie przywiązywano znaczenia, ale gdy w testamencie dziadka przeczytano rozporządzenie, by nie lekceważyć owych paciorków, nie niszczyć ich, nie darować nikomu, wówczas zaczęto zastanawiać się nad znaczeniem czterowiersza, próbowano wytłomaczyć sobie owe kolory na paciorkach, układano naszyjnik w różny sposób dla uzyskania jakiegoś planu w barwach... Wszystkie zabiegi okazały się jednak daremne... Naszyjnik był i jest niezrozumiany...

Milczący dotąd Stef teraz wtrącił pytanie:

— Czy tatuś też próbował odgadnąć tajemnicę.

— Próbowałem i usilnie nawet, jako najwięcej zainteresowany.

— A dlaczego najwięcej?

— Bo dziadek zapisał mi w testamencie stare srebro i różne cenne klejnoty, których jednak znaleźć nie było można. Przypuszczaliśmy, że mają one związek z owym tajemniczym sznurem paciorków i szukaliśmy „klucza do klucza“, lecz daremnie.

— Ale paciorki są jeszcze? Nikt ich nie niszczył?

— Są mój chłopcze i zobaczysz je. Niedawno, pisząc list do ciotki Izy, prosiłem ją, by przy okazji wam pokazała... No, ale teraz czas już na mnie... Koniec pogawędki.

Krysia skoczyła ojcu na szyję.

— Dziękujemy tatusiowi! Bardzo dziękujemy. To było ładniejsze niż bajka.

— Bo prawdziwe — odpowiedział tatuś.

Całe opowiadanie ojca zajęło nie tylko Krysę, ale nawet poważnego Stefa. Myśl o tajemniczym naszyjniku nie opuszczała ich, długo też każde powtarzało sobie czterowiersz, żeby zapamiętać dobrze, a Krysia raz po raz wykrzykiwała:

— Nikt nie odgadł, Stef jednak z pewnością odgadnie.

Na to Anka odpowiadała pytaniem:

— Skądże wiesz o tem? Dlaczego właśnie on ma odgadnąć, nie kto inny?

— Bo on zawsze wszystkie szarady i zagadki umie mi wytłumaczyć! On rebusy odgaduje.

— Wielka mi rzecz twoje szarady i jakieś tam rebusy!

— Wielka, nie wielka. jednak ty nie zawsze dajesz sobie z niemi radę — wtrąciła swą uwagę mama przysłuchująca się rozmowie dzieci.

I dodała:

— Cóż myślisz, Stefku, uda ci się odgadnąć tajemnicę dziadka?

Ale Stef uśmiechnął się w milczeniu i nic nie odpowiedział.

Wieczorem dnia tego „trójka“ wzywana była do pokoju tatusia lecz nie razem, tylko z osobna „po starszeństwie“, jak mówiła mamusia i tam każde z dzieci po krótkiej rozmowie dało rodzicom jakieś przyrzeczenie.

— I ja też coś obiecałam! I ja czegoś dotrzymam — chwaliła się Krysia.

Na co mamusia odpowiedziała z powagą:

— Wszyscy dotrzymacie, jesteście tego pewni. Inaczej nie pozwolilibyśmy samym wam jechać.

IV

Nazajutrz o ósmej godzinie rano „cała trójka“ stała już w oknie wagonu i powiewając chustkami żegnała odprowadzającego dziatwę tatusia.

— Krysia będzie grzeczna! Krysia nie będzie hałasowała! Krysia zawsze usłucha braciszka i siostrzyczki — wyliczała dziewczynka na cały głos wszystkie swe przyrzeczenia uczynione rodzicom.

Anka zaś dodała uroczyście:

— A my będziemy opiekowali się nią ciągle.

Na to słowo „ciągle“ Krysia ze strachem spoj, rzała w twarz siostry,

— O jej! źle się zapowiada — pomyślała.

Droga dla młodych podróżnych przeszła bardzo przyjemnie.

Chłodny wietrzyk niósł do wagonu zapach świeżo skoszonej trawy. Osób było bardzo niewiele, dzieci mogły więc rozmawiać i poruszać się swobodnie.

Wprawdzie z początku zaniósło się na małą

„wagonową“ burzę, lecz do samej burzy nie przyszło.

Przyczyna była taka:

Anka, a nawet Stef, skpro tylko pociąg ruszył ze stacji, zaraz „na poczekaniu“ chcieli dać dowód swej opieki nad Krysią.

Napominali więc dziewczynkę co chwila:

— Nie siedź przy otwartem oknie, bo zaziębisz się.

— Krysiu, nie stój tak ciągle.

— Krysiu, zapnij płaszczyk.

— Krysiu, jak można wytrzymać w płaszczyku...

W wagonie tak gorąco...

— Krysiu, może zjesz ciasteczko?

— Co znowu. Niech zaczeka do pory drugiego śniadania. Mama nie pozwala jej „podjadać“.

Niewiadomo, co byłoby wynikło z tych sprzecznych rozporządzeń, bo Stef i Anka już zaczęli z „ukosa“ spoglądać na siebie, gdyby nie sama Krysia.

Dziewczynka, wierna danemu przyrzeczeniu, z początku próbowała spełniać rozkazy swoich nowych opiekunów, ale prędko zrozumiała, że to byłoby niepodobieństwem, spojrzała więc na brata i siostrę z wielką powagą i oświadczyła, że „kiedy tak“, to ona żadnego z nich słuchać nie będzie.

— Co mi to za opieka, kiedy każde z was co innego mówi. Mnie się aż w głowie zakręciło..

Ja takich opiekunów nie chcę... sama zaopiekuję się sobą.

To oświadczenie podziało znakomicie. Stef zaczerwienił się, Anka spuściła oczy i coś tam odpowiedziała siostrzyczce, że to wszystko z wielkiej troskliwości o nią, że teraz kiedy przekonała się, że i Krysia ma „swój rozumek“, malutki wprowadzie, ale ma, to już jej tak ciągle różnych rzeczy potrzebnych przypominać nie będą i t. p.

Krysia zadowolila się tem objaśnieniem, i rođenje w najlepszej zgodzie dalej odbywało podróż.

Nawiasem mówiąc, Stef tylko parę razy zajrzał do zabranej ze sobą książki, prawie cały czas rozmawiając z siostrzyczkami.

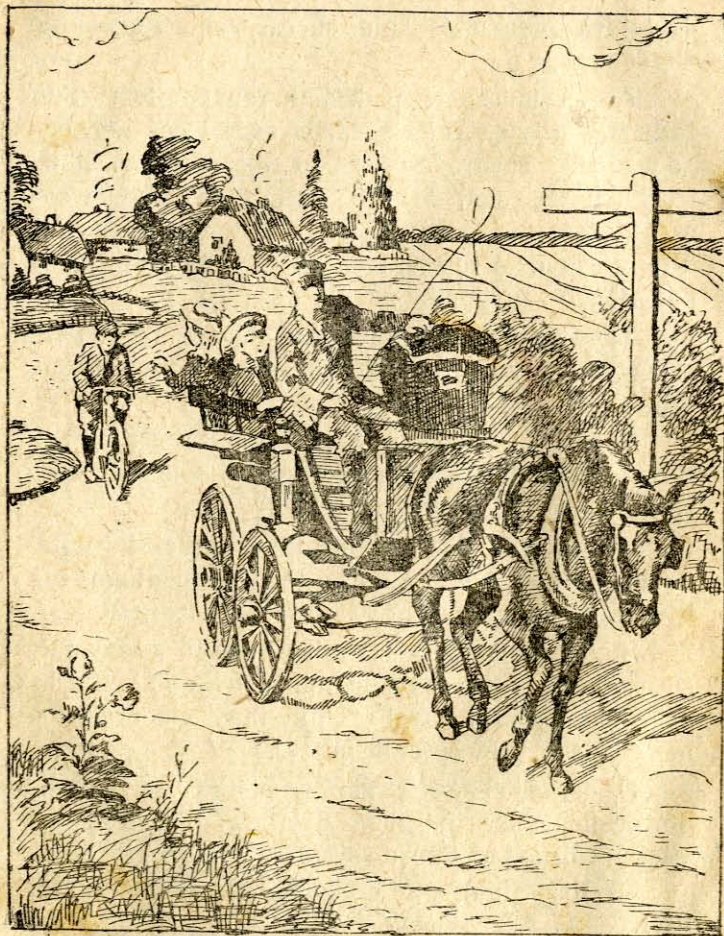
— No, no... jak ten mruk wygrzeczniał odrazu — myślała Anka. — Ale pewnie niedługo tak będzie.

Stacja kolejowa, na której dzieci zatrzymały się o godzinie piątej po południu, była mała i nędzna. Prócz naszej „trójki“ nikt inny z podróżnych nie wysiadł. Na peronie pustki.

Dzieci spodziewały się, że ciotka Iza przyśle po nie kogo, lecz nadzieja była zwodna. Przeszły więc na drugą stronę dworca.

— Może tam kto czeka na nas — powiedział Stef.

Czekał tam rzeczywiście jakiś jednokonny po-



Czekał tam jakiś powozik osobliwego kształtu

wozik osobliwego kształtu, a przy nim chłopiec po miejsku ubrany.

Zobaczywszy dzieci, zbliżył się natychmiast i spytał:

— Czy nie do Borucina?

— Tak, do Borucina.

— To proszę siadać.

Kosze z rzeczami umieszczono obok woźnicy, dziewczynki siadły na jednej z bocznych ławeczek, Stef wskoczył na swój rower i ruszono żwawo.

Okolica była śliczna. Małych, białych domków pełno „jakby nasiał“, przy domkach ogrody, dalej pola...

A do tego słońce świeciło jasno i skowronki dzwoniły w górze. To też młodzi podróżni w doskonałym byli humorze, a usteczka Krysi nie zamykały się wcale. Zachciało się jej też koniecznie wciągnąć woźnicę do rozmowy.

— Ślicznego ciocia Iza ma konika — zaczęła. Milczenie.

— I ten powozik doskonale niesie. Jeżeli tylko można, chciałabym codziennie jeździć na spacer.

Milczenie.

— Powieziecie mnie... Czy pan stangret powiezie mnie kiedy?

— Uhm, uhm, uhm...

— A to dopiero mruk — szepnęła dziewczynka do siostry. — Ale zobaczysz, Anka, będzie musiał przemówić.

— I znowa zagadnęła:

— Panie stangrecie, czy ciocia Iza ma tylko tego jednego konia i ten jeden powozik?

Na to pytanie chłopiec zwrócił się do dziewczynki i sam zapytał:

— Jaka ciocia Iza?

— No, nasza ciocia. Ta pani z Borucina, do której ten powozik i koń należy.

— Kiedy ten powozik i koń należą do mojego pana.

— Aha! Doprawdy?

— Tak. Mój pan jest rymarz bardzo bogaty. Mieszka w tem miasteczku — i końcem bata pokazał widniejące w dali czerwone dachy domów. Wczoraj pani z Borucina wynajęła przez służącą ten powozik, a mnie „pan“ kazał dziś rano jechać na stację.

— Aha, więc to tak? — z żalem w głosie zawołały dziewczynki i nie pytały już stangreta o nic więcej.

Zresztą żał, że ciocia Iza nie miała konia, minął prędko. Stef ma swój rower, a one zdrowe nogi.

Co nam po powozie i koniach, myślały.

Minęła godzina drogi, wjechało do miasteczka. Woźnica skrzył i zatrzymał się przed jakimś dużym domem.

Nad drzwiami domu był napis: „Urząd pocztowy“.

— Dlaczego zatrzymujemy się tutaj? — spytał Stef, nadjeżdżając na rowerze.

— Muszę przecie wziąć klucz — mruknął stangret, zeskakując z koźła.

— Jaki klucz? Po co?

— Ano klucz od borucińskiego dworu. Pani dziś rano zostawiła go tutaj, a ja mam przykazane wstąpić i zabrać.

— Co wy mówicie?

— Ano prawdę rzetelną. Toć bez klucza nie dostaniecie się do domu.

Dziewczynki przysłuchiwały się tej rozmowie oniemiale ze zdziwienia.

— Co ten chłopiec plecie? Klucz od domu w Borucinie ma być tu na pocztce? Ciocia Iza go zostawiła... Gdzież więc jest ona sama i co to wszystko znaczy?

Stef zeskoczył z roweru.

— Pójdę na pocztę i rozpytam się, to musi być pomyłka.

Długa chwila minęła, dziewczynkom serca były niespokojnie.

— Co to będzie? Mój Boże, co to będzie?

Wreszcie Stef wyszedł. W ręce trzymał dwa duże klucze żelazne.

— Wszystko to prawda — rzekł. — Ciocia Iza dziś ze służącą wyjechała, dom zamknęła, a klucze zostawiła tutaj, prosząc, by je nam oddano.

— Ciocia wyjechała! Gdzie? Na jak długo?

— Tego nikt tam na pocztę nie wie. Widocznie pojechała gdzieś w sąsiedztwo.

— Ale przecież tatuś mówił, że ciocia, nigdzie nie bywa...

— Tatuś pomylił się... Ale, ale ciocia kazała, powiedzieć, że w jadalnym pokoju na stole zostawia list, który wszystko wyjaśni.

— No i cóż teraz zrobimy? Jakże możemy jechać do Borucina, gdy cioci niema?

Pytanie rozstrzygnął woźnica, bo w tejże chwili wskoczył na kozioł i podciął konia.

Powozik potoczył się jak kula po gładkiej drodze, a za powozikiem, chcąc nie chcąc, spieszył Stef na swoim stalowym rumaku.

Po chwili Stef zrównał się z wózkiem.

Moim zdaniem — zaczęła Anka nic innego zrobić nie możemy, tylko jechać do Borucina. Ciocia pewno dziś jeszcze wróci.

— Tak, Anko, masz rację. Zresztą wracać do domu nie możemy. Nie mamy pieniędzy na bilety. Te trzy ruble, które nam tatuś dał na drobne wydatki, przecież nie wystarczą.

— Moznaby stąd wysłać depeszę.

— Tak. A gdzie czekać na odpowiedź? Gdzie noc spędzić?

Zamilkli. Powozik toczył się szybko, potem nagle skręcił i oto w dali na wgorzu, wśród mnóstwa zieleni zamajaczyły przed dziećmi białe mury.

Woźnica wyciągnął bat w tę stronę.

— To dwór boruciński — rzekł krótko.

Jeszcze kilka zakrętów i powozik stanął przed wysokim parkanem, otaczającym dom i ogród wkoło.

Z frontu była brama w parkanie, ale ją ominęli, zatrzymując się przed małą, boczną furtką.

— Pan powiedział — rzekł chłopak — że tą furtką wejść trzeba za parkan, a ten drugi klucz otworzy frontowe drzwi domu.

— Spróbujmy dzwonić. Patrz tu jest rączka od dzwonka, może nam kto otworzy? — rzekła Anka, — Pewnie to wszystko żart jaki?

Lecz pukanie i dzwonienie nie pomogło. Dom pozostał cichy, jakby uspiony. Tymczasem woźnica naglił o pośpiech, bo kazano mu jak najprędzej powracać.

Stef więc z przykrem uczuciem otworzył furtkę w parkanie, potem drzwi frontowe i wraz z woźnicą wniósł kufer do sieni. Anka zaś zabrała z powozika szale i koszyk z resztką zapasów podróжных.

— No, czas na mnie — rzekł woźnica kłaniając się lekko.

Rozległo się trzaśnięcie z bata, turkot powozu, a potem cisza.

Dzieci zostały same. Same zupełnie w wielkim, nieznanym dworze.

V

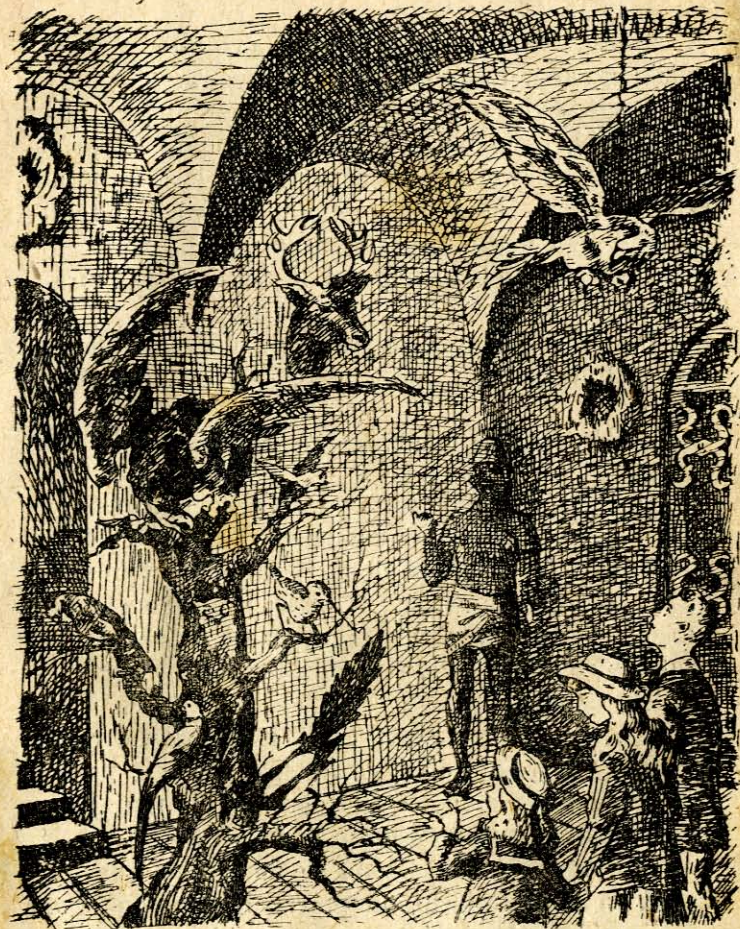
Ogromna, sklepiona sień, do której młodzi podróżni weszli, miała wygląd niezwykły. Szerokie schody prowadziły do górnych pokojów, widocznie niezamieszkałych, bo widać było drzwi zamknięte na sztaby i kłódki.

Na białych ścianach sieni zawieszono u góry pęki zbóż i gałęzie jedliny, niżej zaś poprzybijano rogi łosi i jeleni. Zastępowały one wieszadła.

Były to zapewne pamiątki myśliwskie dawnych panów Borucina.

Wszędzie zaś aż roiło się od wypchanych ptaków...

Wielki orzeł z rozpostartymi skrzydłami, spuszczone od stropu na długim łańcuszku, zdawał się niby żywy, a nad dwójgiem drzwi, prowadzących z sieni na prawo i na lewo, siedziały na gałęziach jastrzębie i pochylając głowy, zdawały się upatrywać łupu...



Ogromna sklepiona sień miała wygląd niezwykły.

Wprost drzwi wchodowych przybito do posadzki wysoki, rozgałęziony pień drzewa.

Nagie gałęzie obsiadły przeróżne ptaki: błękitne sójki, pstre dzięcioły, czubate dudki i czarno przybrane kruki. Wpółrodku drzewa zaś, w naturalnej dziupli, siedziała olbrzymia sowa i żółtemi jak bursztyn oczyma, patrzyła na dzieci.

Wszystko to było niezwykle piękne, lecz i straszne zarazem.

Opowiadanie ojca o różnych dziwach, jakie ukrywał stary dom boruciński, odżyło w pamięci dzieci.

A murzyn? A niedźwiedź? A krzesło, a huśtawka?

Ot, tam w kącie stoi wysoka, drewniana figura i białe zęby pokazuje w uśmiechu...

Czarna farba starła się miejscami, murzyn wygląda jak ocentkowany w białe i czarne plamy. Purpurowy fez na głowie i purpurowa opaska około bioder wybladły także, a strojące ją srebrne frendzle i galony szerniały...

Lecz co gorsza, murzynowi brak prawej ręki, zapewne tej, w której trzymał tackę...

O już teraz nie ma czego obawiać się murzyna. Już on nikogo nie wywiedzie w pole!

Ale jednakże dzieci boją się go trochę, chociaż żadne, za nic w świecie, nie przyznałoby się do tego.

Czy ów niedźwiedź mruczający stoi jeszcze w sieni jak dawnymi laty? Coś go nie widać... Ale

кто wie jakie dziwy kryją się tam, po kątach pod temi ogromnemi oponami z płótna?

Gdyby tak podnieść jedną? O nie! Tego żaden z patrzących, przynajmniej w tej chwili, nie zrobi.

Przytulone jedno do drugiego, dzieci stoja w milczeniu...

Niemile uczucie samotności ogarnia je coraz więcej. Nawet Stef, zawsze taki odważny, czuje się jakiś nie „swój“.

— Cóż to znowu? — Miałebym lękać się? Nie wolno mi tracić ducha. Jestem opiekunem młodszego rodzeństwa...

Więc zdobywa się na uśmiech i na żarty.

— Czego my tu stoimy, moje panny siostry? Przecie nie wrosliśmy w ziemię. Trzeba ruszać dalej.

— Gdzie? — szeptem zapytuje Anka.

— Gdzieżby... do pokoju. Ach, widzicie, zapomnieliśmy „na śmierć“, że w jadalni czeka nas list cioci Izy... No, radźcie mi, moje panny, które drzwi otworzyć na prawo, czy na lewo?

— Naturalnie, że na prawo.

— Nie wiem dlaczego ma być „naturalnie“, ale zgoda, otwierajmy.

VI

Rada przypadkowa okazała się dobrą. Wybrane drzwi wiodły do jadalnego pokoju.

Ach, jakże tu wspaniale!

Ścianę przeciwległą do sieni zajmuje wielkie okno, złożone w górnej części z drobnych, oprawnych w ołów szybek kolorowych. Zachodzące w tej chwili słońce, snopem promieni wprost na nie pada... Posadzka, ściany zasypane są tysiącem plamek purpurowych, zielonych, błękitnych!...

Wzdłuż ścian jadalni biegnie wysoka, drewniana lamperja, rzeźbiona w gwiazdy i kwiaty.

A nad lamperją całe szeregi portretów. Oczy postaci malowanych spoglądają życzliwie na dzieci.

Pradziadowie witają prawnuków w starym domu!...

Pod jedną ścianą stoi kredens dębowy, cały w rzeźbach delikatnych, pod drugą także szafa i ciężka komoda, z mosiężnymi okuciami, a na środ-

ku olbrzymi stół, otoczony rzędem krzesel, krytych czerwoną skórą.

I nic więcej.

To też jadalnia przy swoim ogromie, wydaje się prawie pustą.

Ale dzieci na to wszystko nie zwracają uwagi. Myślą o jednym tylko... o liście ciotki Izy.

Leżał tam na środku stołu. Właściwie nie list lecz ćwiartka papieru zaadresowana „Do moich miłych gości“.

List był krótki, a data z dnia poprzedniego.

„Przykro mi bardzo, drodzy i kochani, lecz okoliczności tak złożyły się, że was powitać nie mogę. Przyjaciółka moja, z którą udaję się do wód, oznajmiła mi dziś depeszą, że wyjazd swój przyspiesza i że mamy zjechać się jutro o szóstej rano. Nie zawiadamiam was o tem, bo już zapóźno i donoszę, że za cztery tygodnie dopiero wrócę nacieszyć się wami. A tymczasem uścisk serdeczny. Jeszcze słówko: W szufladzie w kredensie jest notatka, gdzie mieści się bielizna stołowa, pościelowa i różne potrzebne rzeczy. Śpiżarnię zaopatrzyłam naprędce w co się dało. Piekarz i mleczarka są już uprzedzeni, będą wam przynosić co drugi dzień mleko i pieczywo, w ogrodzie macie trochę jarzyn i owoców, zresztą w miasteczku wszystkiego dostać można. O pudełku z paciorkami pamiętałam, znajduje się w kredensie. Uprezdam was też, że frontowa brama w parkanie ze-

psuta i otwierać jej nie można. Do widzenia, drodzy moi, mam nadzieję, że dobrze wam będzie w Borucinie“.

Papier wysunął się z rąk Anki... Spojrzała na brata.

— A więc ciocia wyjechała na dobre, a więc rzeczywiście nikogo w domu niema... I co my teraz zrobimy? — wyjąkała.

Stefowi również było jakoś niemiło, zapanował jednak nad sobą i udając swobodę, zawołał:

— Co zrobimy? Przedewszystkiem odszukamy spiżarnię, potem kuchnię i przyrządzimy sobie jaki posiłek. Co do mnie, umieram z głodu.

— I mnie chce się jeść bardzo — odezwała się Krysia płaczliwie.

— Jakto? Więc zostajemy tutaj, Stefie?

— A co lepszego możemy zrobić, Anko? Innej rady niema. Musimy zostać przynajmniej przez noc dzisiejszą. Patrz, słońce za chwilę zajdzie, nawet pieszo nie zdążylimy wrócić na stację.

— Zresztą — odpowiedziała Anka — nie na wieleby się to przydało. Pociąg odchodzi rano, a my na bilety nie mamy pieniędzy.

— Więc, jak mówię, trzeba zostać, zjeść kolację i spać się położyć. Poszukajmy teraz spiżarni.

Skoczył i otworzył drzwi na lewo.

— Aha, biblioteka... Oj co książek... Poznamy się z wami, tylko nie dziś jeszcze. A te drzwi

gdzie prowadzą?... Ślicznie... korytarz... Założyłbym się, że na końcu jest kuchnia.

Tak i było. Jasna, wesoła, a czysta jak pokój. W podłodze znajdowały się drzwi do piwnicy. Na trzonie kuchennym leżały drobno połupane szczapki drzewa, obok stała maszynka naftowa, imbryk do herbaty i dzbanek pełen wody. Na stole leżał klucz z napisem „spiżarnia“.

Dzieci wydały okrzyk zachwytu.

— Jaka ciocia Iza dobra! O wszystkim pamiętała!

VII

W półgodziny później młoda „trójka“ siedziała przy herbacie w kuchni. Jednogłośnie bowiem postanowiono, że pokój stołowy jest dla nich za piękny i za poważny, i że w kuchni daleko jest weselej, więc tam cały wieczór przepędzą.

— Jutro, po dniu, obejrzymy sobie dom cały — rzekła Krysia.

— A przedewszystkiem postanowimy, co robić — dodał Stef.

Maszynka naftowa szumiała, z dzbanka wydobywały się kłęby pary, a dzieci piły wyborną herbatę z mlekiem, którego spory dzbanek znalazł się w spiżarni i zjadały kawał po kawał chleb z masłem i szynką.

Onieśmienie poprzednie i trwoga zniknęły bez śladu, dzieci czuły się bezpieczne i spokojne. Bo i czego miały się obawiać? Wszakże Stef zamknął furtkę w parkanie, na drzwi frontowe założył sztaby i przyśrubował okiennice w jadalni.

— Nawet mysz nie dostałaby się teraz do domu — pomyślał, gdy już wszystkie przygotowania zostały skończone.

Poweselało w kuchni.

Lampa, paląca się nad stołem, oświecała uśmiechnięte twarzyczki małej gromadki.

— Czy wiesz Stef — mówiła Anka — zdaje mi się chwilami, że to sen... My sami w starym domu... na własnej tylko opiece...

— A mnie się zdaje — że to zabawa „w dom“, tylko zamiast ścian i krzeseł mamy dom prawdziwy.

— I prawdziwą wieczercę zamiast takiej „nabiby“ na serwisie lalki. Mnie dotychczas wszystko bardzo podoba się — dodała Anka.

— Tylko czy podoba się rodzicom, to pytanie? — szepnął Stef. — Ale doprawdy, inaczej postąpić nie było można.

Zamyślił się i powtórzył:

— Tak, doprawdy, nie było można.

Starsze rodzeństwo byłoby jeszcze gawędziło dłużej, lecz Krysia zaczęła mrużyć oczy, a później opierając główkę na stole, oznajmiła: „muszę przespać się troszeczkę“. Postanowiono zatem udać się na spoczynek.

Trzy pokoje sypialne, jeden obok drugiego, wychodziły na korytarz. Najbliższy jadalni był widocznie ciotki Izy, następny ciocia przeznaczyła dla mamy i dwu dziewczynek, a ostatni dla Stefa. Pokoje urządzone były tak wygodnie, że dzieci znowu za-

częły wychwalać dobroć cioci, która o każdej, potrzebnej dla nich drobnostce pamiętała.

— A nie zamykaj drzwi od swego pokoju, Stefie — prosiła Krysia.



— Dobrze, dobrze, mały tchórze. Śpij spokojnie. Ja jeszcze nie położę się, poczytam trochę.

A teraz klękniemy razem do pacierza.

Lecz przy pacierzu „panna Krysia“ zasnęła... a gdy potem siostrzyczka rozespaną ułożyła w łóżku, zaczęła grymasić i wołać:

— Do mamy! Ja chcę do mamy! Do mamy!

VIII

Mimo zmęczenia, mimo doznanych wrażeń, dzieci spały „jak zabite“ i nazajutrz dopiero około dziesiątej, zeszły się w kuchni.

Dzień był tak jasny, kuchnia tak czyściutka, że młodym rozbitkom zrobiło się odrazu rażno na sercu.

— Słuchajcie — zaproponowała Anka — zanim woda zagotuje się w imbryku, złożmy radę wojenną, co robić należy.

— Tu niema wojny, więc i rady wojennej być nie może — poprawił ją brat.

— Wszystko jedno. Tak czy siak, dość, że radzić trzeba.

— A o czymże radzić mamy?

— O najważniejszej rzeczy. Zostać, czy powrócić?

— Już co do dziś, sprawa rozstrzygnięta, bo na pociąg zapóźno. Zresztą brak nam pieniędzy.

Więc chyba postawmy pytanie: „Wysłać depeszę do rodziców, czy nie wysłać“?

— Niech i tak będzie — zgodziła się Anka.

— Dobrze. Pomyślmy teraz, co się stanie, skoro rodzice otrzymają naszą depeszę?

— Naturalnie, mamusia lub tatuś natychmiast przyjadą.

— Zapomniałaś, Anko, że jutro dzień przeprowadzki, a tatuś ma bardzo pilną sprawę w sądzie.

— To prawda, nasza depesza popsuje wszystkie ich plany. A co będzie, jeżeli nie wyślemy depeszy?

— Wtedy, rzecz prosta, to o czym mówimy teraz, nie nastąpi i mamusia przyjedzie do nas dopiero po przeprowadzce, to jest za tydzień.

Mała Kryśka, która przez czas tej rozmowy skakała jak wróbel po całej kuchni, i „myszkowała“ po kątach, teraz, słysząc, że mamusia dopiero za tydzień ma przyjechać, rozplakała się i zaczęła wołać na głos:

— Niech mamusia zaraz przyjedzie! Ja chcę do mamusi! Wyślijcie depeszę!

Stef i Anka jednak, nie zważając na nią, radzili dalej.

— Więc jak myślisz, Stef, czy możemy zostać tutaj?

— Powiedz raczej, czy powinniśmy — poprawił ją brat. Nie, ja zapytam inaczej jeszcze. Czy mamy prawo opuszczać dom ciotki Izy i zostawiać go bez opieki?

— Nie mamy, Stefku.

— Czy mamy prawo przeszkadzać rodzicom w ich zajęciach?

— Także nie.

— No to widzisz... więc...

— Więc... więc... Stefie. Tydzień tak prędko przeleci. Zapasów w spiżarni „buk“, sama sprawdzałam, więc...

W gruncie rzeczy Stef i Anka mieli teraz szaloną ochotę pozostać i nie zawiadamiać rodziców o tem co zaszło. Uśmiechnęła się im myśl, że przez cały tydzień będą panami domu, że będą niby dorośli. A jechać bez wysłania depeszy też nie było można, bo nie mieli pieniędzy na bilety.

— Możeby pocztmistrz pożyczył? — szepnęła Anka.

— To go proś, bo ja ani myślę — odparł Stef.

Siedzieli jeszcze przy śniadaniu, gdy dzwonek zabrzęczał u furtki.

Stef skoczył otworzyć. Za chwilę przez wpół-otwarte drzwi wsunął się koszyk z bułkami i chlebem, a nad nim twarz rumiana i uśmiechnięta.

— Aha, są goście — rzekł piekarz. Dzień dobry, młodzi państwo. Spóźniłem się dziś trochę. Czy dosyć będzie pieczywa? A niech kto weźmie dzbanek z mlekiem. Mleczarka pewnie dodzwonić się nie mogła i postawiła dzbanek za furtką. Do widzenia!... Jutro przyjdę wcześniej.

Tajemnica starego dworu

Czwarta Publiczna 7-mio-klasowa
Szkoła Powszechna w Gnieźnie

Nr. dz.

Bułki i chleb potwierdziły słowa Anki, że zapasów „huk“.

Bo rzeczywiście w spiżarni niczego nie brakło. Szynka, kielbasa, koszyk z jajami, mąka, kasza, konfitury...

— Tylko cukru „przymało“ — zauważyła Krysia.

— Wielka rzecz, jakby zabrakło, jest przecież cukier w miasteczku.

Po oględzinach spiżarni przysła kolej na oględziny domu. Okazał się małą twierdzą. Drzwi miały zamki, okna okiennice ze sztabami, tylko kuchenna okienica była trochę nadpróchniała.

— Ale kto tam ją będzie odrywał — śmiał się Stef.

Po tych oględzinach urządzono niby głosowanie.

— Kto jest za wysłaniem depeszy, niech podnieś rękę do góry — rzekł Stef.

Ale żadna ręka nie drgnęła nawet.

— Kto jest przeciw depeszy, niech wstanie.

„Trójka“, jak jeden mąż, skoczyła do góry.

— Uchwała zapadła. Zostajemy — poważnie oznajmił Stef.

Potem rozdano między siebie zajęcia. Stef miał czuwać nad bezpieczeństwem domu, zamykać drzwi, śrubować okiennice, a przytem zamiatać, nalewać naftę do maszynki, przynosić wodę, jednym słowem spełniać tak zwaną „grubszą robotę“. Anka

przyjęła na siebie obowiązek gotowania i utrzymywania porządku w kuchni.

— Zobaczycie, jakie wam doskonałe obiady będę przyrządzała, że... „palce lizać“ — mówiła.

— A ja? A ja? Ja też chcę coś robić — dopominała się Krysia.

— Ty będziesz „na posyłki“, a przytem masz ścierać kurze, nakrywać do stołu i być moją... zaraz... zaraz... jak się to mówi... Aha! moją „podmłodszą“.

— No, a teraz — rzekł Stef — ja siadam na rower i odwożę na pocztę kartę do rodziców.

Karta zawierała tylko kilka wierszy.

„Przyjechaliśmy cali i zdrowi. Dom przesłiczny. Jest nam tu dobrze. Całujemy ręce mamusi i tatusia“.

IX

Nie zawsze wieczór bywa podobny do dnia, a koniec do początku. Przekonały się o tem dzieci wkrótce.

Cały dzień zeszedł im szybko i miło. Po oględzinach domu nastąpiły oględziny ogrodu. Był prześliczny. Krysi podobały się szczególnie grządki z dojrzewającymi truskawkami, Ance kwiaty, a Stefowi cienista altanka, w której „tak dobrzeby się czytało“. Nie podobała im się tylko jedna rzecz, a mianowicie ścieżki, wyłożone bardzo porządnie czerwonymi cegielkami.

— To brzydkie. Piasek stokroć ładniejszy — mówiły dzieci.

Ale co tam uważać na ścieżki, kiedy wszystko inne takie piękne.

Do wieczora dzieci nie wychodziły z ogrodu. Nawet obiad zjedzono w altance.

Coprawda, ten obiad mógłby się równie dobrze nazywać podwieczorkiem. Składały go: her-

bała, bułki, chleb z masłem, i... truskawki. Ile dusza zapagnie.

— Nie wiem, dlaczego to ludzie przygotowują codziennie gorące potrawy, kiedy i zimne nasycą — wołała Anka, której w praktyce nie bardzo uśmiechało się gotowanie.

— Naturalnie. Wszystko jedno, co się zje — dodała Krysia.

— Zwłaszcza, jeżeli tem „wszystkiem“ są truskawki. Prawda, Krysiu? — śmiał się Stef.

— Ma się rozumieć, wcale się tego nie zapieram — potwierdziła dziewczynka.

Przed wieczerzą jednak, ni stąd ni zowąd, luźną deszcz rzęsiły, i dzieci musiały wrócić do domu.

Rozjaśnione twarzyczki odrazu sposepniały.

— Cóż będziemy teraz robili? — spytała Krysia brata.

— Rozpakujemy rzeczy. Już należało to zrobić!... I... poczytamy sobie trochę.

— E, co mi tam z czytaniem. A na rozpakowywanie już zapóźno.

— Przygotujemy wieczerzę.

— Jeszcze za wcześnie.

— Wiecie co? — zawołała nagle Anka. — Zapomnieliśmy „na śmierć“ o tym naszyjniku. Poszukajmy go.

W tej chwili Stef przypomniał sobie jeszcze o czem innem. W wigilię wyjazdu obiecał ojcu,

że codziennie będzie miał z Anką godzinę francuskiego. I zapomniał...

Jak on mógł zapomnieć... Ale od jutra poprawi się i do każdej godziny lekcji przyłoży choć dziesięć minut, to się w ten sposób ta stracona godzina wyrówna.



A tymczasem Krysia na wspomnienie naszyjnika zaczęła klaskać w ręce i wołać:

— Szukajmy go. Szukajmy!

Wcale szukać nie trzeba było. Ciocia napisała przecież wyraźnie „jest w kredensie w szufladzie z lewej strony“.

Znajdowało się tam rzeczywiście dziwacznej formy rogowe pudełko, a w niem ów tajemniczy naszyjnik.

Ale na jego widok zawód odmalował się na twarzach patrzących.

— Wyobrażałam sobie co innego — szepnęła Anka.

— I ja także — dodała Krysia. — Nie wart tyle ciekawości.

Tylko Stef milczał, patrząc z uwagą na paciorki.

Rzeczywiście naszyjnik ów, jeżeli go tak nazwać można, wyglądał nieosobliwie.

Był to poprostu sznur okrągłych, drewnianych paciorków, pomalowanych w różne kolory i desenie.

— Jak one beładnie ponawlekane — zauważyła Anka. — Patrz, Stefie, tu po dwa jednego koloru, tam po trzy, tu znowu po jednym. Bez żadnego sensu.

— A może właśnie jest w tem jakaś myśl ukryta? — rzekł Stef.

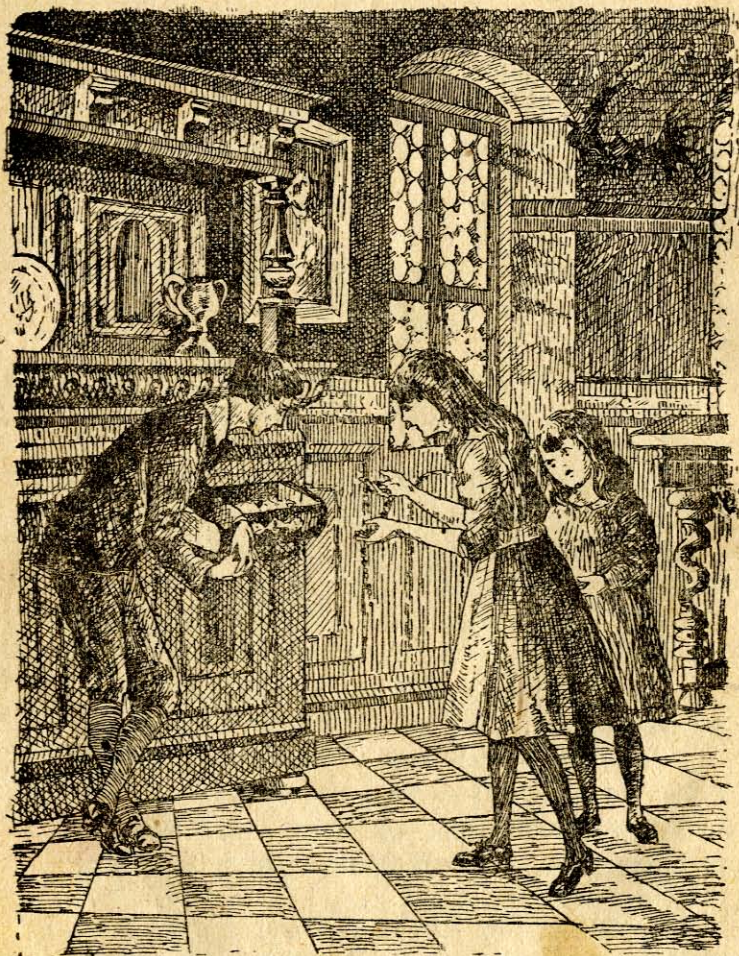
— E, ty we wszystkim lubisz coś upatrywać. Chodźcie lepiej do kuchni, usmażę wam jajecznicę.

I Anka wrzuciła paciorki do pudełka, a pudełko do szuflady.

Ponieważ wieczór zapadł, zapalono lampę i zabrano się do przyrządzania wieczery.

Krysia nakrywała do stołu, Anka zawzięcie rozbijała jajka, a potem wyniosła ze spiżarni talerz drobno pokrajanej szynki.

— Zobaczycie, jaką wam wyborną jajecznicę usmażę — obiecywała.



— Wyobrażałam sobie co innego — szepnęła Anka.

Czy jajecznicza okazała się wyborną, niewiadomo, bo w kuchni rozszedł się przykry zapach spalenizny, ale że głód to najlepszy kucharz, więc i naszej trójce jajecznicza smakowała doskonale.

„Pałaszowali“ aż miło, co dobrze wpłynęło na polepszenie humoru.

Wprawdzie przy myciu talerzy i szorowaniu patelni nastąpiła mała sprzeczka, jednakże przeszła szybko.

Każda z dziewczynek chciała wycierać naczynia, na mycie żadna nie miała ochoty.

— Tyś starsza, to do ciebie należy — mówiła Krysia.

— Tyś moja „podmłodsza“, powinnaś mnie słuchać.

— Kiedy tu niema młodszej, więc ja nie jestem żadna „podmłodsza“.

— Cicho bądź. To mi dopiero mądrała! Ledwo od ziemi odrosła, już starszych nie słucha.

— Tyś nie żadna starsza. I ja talerzy nie będę myła.

Zanościło się na domową burzę.

— No, jeśli żadna z was nie chce, ja pomyję naczynia — zdecydował Stef, zakasując rękawy.

To rozstrzygnęło sprawę. Zawstydzone siostry zabrały się do roboty i „w mig“ ją skończyły.

Było już około dziesiątej, dzieci myślały o spoczynku, gdy wtem wśród ciszy panującej w całym domu, rozległy się wyraźnie, gdzieś w głębi, jakby stapania.

„Strach ma wielkie oczy“ mówi przysłowie, więc i dzieciom ów leciutki szelest zdawał się przerażającym hałasem.

Zdrętwiały z trwogi. Nawet Stef, zwykle odważny i spokojny, pobladł nieco.

— Co to jest, Stefie? — Szepnęła Anka.

— Nie wiem. Czekajmy.

Stapania powtórzyły się znowu, tym razem jakby nad ich głowami.

— O mój Boże! Ja się boję! — pisnęła Krysia.

— Nie masz czego — uspokajał ją Stef. — To pewno są myszy... a może szczury.

— Aha, szczury... Nie wierzę.

Nadśłuchiwał, lecz stapanie nagle ustało. Raz jeszcze lekki chrobot dobiegł uszu dzieci, a potem zapanowała cisza.

— Zostańcie tutaj — rzekł Stef, po chwili. — Ja wezmę świecę i obejdę wszystkie pokoje.

Ale Anka uchwyciła brata za rękę.

— Za nic w świecie nie puszczę cię samego. Pójdziemy razem, niech Krysia tu zostanie. Dla bezpieczeństwa zamkniemy ją na klucz.

— Nie chcę, nie chcę, nie chcę! — krzyknęła dziewczynka. — Umarłabym sama ze strachu.

— A może lepiej nie chodźmy? — rzekła Anka, także, jak to mówią, „tchórzem podszyta“.

Na to Stef odpowiedział z mocą:

— Musimy. W nieobecności cioci my jesteśmy stróżami domu. Musimy!

I poszli wszyscy troje.

Stef trzymał świecę wysoko ponad głową, a siostrzyczki tuliły się do niego przerażone.

Ach, jakież smutny był ten pochód przez ogromne i do tego nieznane pokoje!

Po kątach czały się długie cienie, sprzęty wyglądały tajemniczo, a oczy pań i panów z portretów patrzyły na dzieci i zdawały się pytać.

— Co tu robicie? Po co przyszliście tutaj?

A ten skrzyp drzwi rzadko otwieranych, ten odgłos stapań budzących echo!...

I te ich oddechy przyspieszone, i te spojrzenia pełne trwogi!...

Ale jednak dzieci szły odważnie z pokoju do pokoju, zaglądały pod kanapy i stoły, podnosiły opuszczone fałdy ciężkich firanek, przepatrywały każdy kącik podejrzący. Przeszukały sumiennie całą otwartą część domu.

Nie znalazły nic i nikogo...

Uspokojona w części gromadka udała się na spoczynek.

Wybiła godzina jedenasta.

— A jednak — myślał Stef, rozbierając się, słyszałem wyraźnie stapanie. Co to być mogło?

X

Nazajutrz o wschodzie słońca Stef już był w ogrodzie. Całą noc nawet nie zmrużył oka. Niepokój i różne myśli spać mu nie dały.

Stysząc owe podejrzané szelesty, Stef mówił siostrzyczkom: To nic nie znaczy. Myślał jednak że inaczej.

A może jaki zły człowiek dostał się do domu? Może czeka tylko, żeby wszyscy zasnęli?

Postanowił więc czuwać. Zgasił świecę, pozamykał na klucz wszystkie drzwi łączące wewnątrz pokoje i wpół ubrany siadł w fotelu. Różne myśli snuły mu się po głowie: Czy dobrze zrobił nie wysyłając depeszy do rodziców. A może trzeba było „zrzucić pychę z serca“ i prosić kogo w miasteczku o pożyczanie pieniędzy na powrotne bilety? Ciotka za ma pewnie znajomych; nie byliby odmówili. Może trzeba było tak zrobić? Przecież rodzice jemu oddali siostry w opiekę... Tak, ale czy można zostawiać dom bez żadnego dozoru? Ciocia wyje-

chała pewna, że dom będzie zamieszkany... I tak źle i tak niedobrze.

Rozmyślał... rozważał... układał plany... Nagle drgnął. Dziwny szelest dobiegł jego uszu. Z zewnętrznej strony domu wyraźnie ktoś dotykał się ściany.

Chłopiec porwał się na „równe nogi“.

— Ktoś próbuje, czy okiennice zamknięte — przeleciało mu przez głowę,

W jednej chwili zrozumiał, że krzyk nie nie pomoże, a tylko obudzi i przestraszy siostrzyczki.

Więc z bijącym sercem czekał, co dalej będzie. A ów ktoś widocznie chciał przez okno dostać się do środka domu, próbował u jednego okna, próbował u drugiego...

Trzeba przyznać jednakże, że próbował delikatnie.

Stef drżącymi ustami szeptał „Pod Twoją obronę“ i stał nieruchomy przy oknie. Minęło chwil kilka... Chłopcu zdawało się, że wieki całe... Szelest powtórzył się nieco dalej, przy spiżarni. Tam nie było okiennicy ani szyb, tylko bardzo mocna, żelazna krata — prawdopodobnie założona dla dopływu świeżego powietrza.

Przy oknie spiżarni tajemniczy szelest powtórzył się, i jakieś chrobotanie dobiegało wyraźnie uszu nadsluchującego chłopca.

— Zapewne pijuą kratę — pomyślał, ocierając pot z czoła.

Ale raptem wszystko ucichło. Dał się słyszeć upadek czegoś, czy kogoś na rozmiękną od deszczu ziemię, a potem nastąpiła cisza.

Cisza nieprzerwana... Zmęczony czuwaniem Stef usunął się na krzesło i po chwili zamknął powieki.

Pierwszy promień słońca wpadający przez szpary okiennicy, zbudził śpiącego.

Oprzytomniał odrazu. Cała męka minionej nocy stanęła mu żywo w pamięci...

— A dlaczego ten „ktoś“ nie wszedł do domu? Przecież ostatecznie okiennicę wyrwać było łatwo? A może to wiatr uderzał gałązką w okno?

Naraz stuknął się w czoło.

— Jeżeli był ktoś pod oknem, to na ziemi znajdzie ślady nóg — pomyślał.

I czempredzej wybiegł z domu.

Ale najtroskliwsze poszukiwania nic nie wykryły... Stef znalazł tylko koszyk zostawiony dnia poprzedniego przez którąś siostrzyczkę.

Zabrał koszyk i już otwierał drzwi od kuchni, wracając do domu, gdy niespodziewanie ten sam odgłos powtórzył się tuż obok niego, przy oknie śpiżarni.

Przerażony chłopiec obrócił się.

I oto co zobaczył:

Na wystającym gzymsie okna siedział duży, czarny kot i wsuwał raz po raz łapkę między kraty, pragnąc widocznie dostać się do środka.

Stef wybuchnął głośnym śmiechem.

W jednej chwili zrozumiał wszystko.

Kot zapewne wszedł przez dymnik na strych, ale nie mogąc dostać się do pokojów na górze, bo wszystkie drzwi były pozamykane, wyszedł tą samą drogą z domu i próbował wsunąć się przez okno.

Widocznie był to kot domowy, znający dobrze wszystkie przesmyki.

W jednej chwili troska, gniotąca serce chłopca, zniknęła bez śladu.

— Jakże ja mogłem być tak dziecinny, przypuszczając, że złodziej dobija się do domu? — myślał. — Przecież ciocia pisała do ojca, że okolica tutaj cicha, spokojna. To dopiero głupiec ze mnie...

I postanowił o swoich nocnych przywidzeniach siostrzyczkom nie wspominać nawet.

— Tylko kota im zaprezentuję, jako sprawcę owych hałasów na górze. Jeżeli na przyszłość powtórzy się coś podobnego, to już nie będą się bały.

XI

Ranne słońce wnet schowało się za chmury i jak zaczął mżyć drobny deszcz, tak zwany „kapuśniaczek“, to i mżył bez przerwy dzień cały.

Chcąc nie chcąc, musiały dzieci siedzieć w domu. Nie nudziło się im jednak wcale.

Anka znalazła książkę kucharską i postanowiła ugotować „prawdziwy obiad“. Krysia nie odstępowała czarnego kota, który okazał się bardzo chętnym do zabawy, a Stef przeglądał i układał przyniesione książki.

Po obiedzie miała być lekcja francuskiego. Pokazało się jednak, że Stef zapomniał przywieźć gramatykę. A bez tego ani rusz.

— Co prawda, Anka powinna była o tem pamiętać — pomyślał — przecież to o nią chodzi.

Głośno zaś rzekł:

— Pójdę, poszukam w bibliotece, może się tam, jaka gramatyka znajdzie.

Poszedł i... przepadł.

Ale to już całej rodzinie wiadomem było z doświadczenia, że skoro Stef dostanie się do nowych książek, to „o Bożym świecie“ zapomina. Więc i teraz tak samo się stało. Stef zapomniał o gramatyce i o siostrzyczkach.

Co prawda, one też o nim nie myślały. Krysię zajmował kot, Ankę gotowanie. A tu, jak „na złość“ dobrze gotować się nie chciało. Zupa, zaprawiona według przepisu śmietaną, zwarzyła się, omlet twarde był jak wiór, a kasza niewiadomo dlaczego szczyrniała.

Z przyczyny tych niepowodzeń dobry humor opuścił Ankę.

— Leczyć trudno. Jaki obiad jest, taki jest, zawsze dać go trzeba... Tylko gdzie się ten Stef „zapodział“? Pójdę go poszukać.

Stef siedział w bibliotece pochylony nad stołem. Głowę oparł na ręce i coś kreślił na papierze.

Na widok wchodzącej siostry porwał się od stołu i zasłonił papier.

— Stef, chodź na obiad. A co ty tam gryzmo-lisz?

— Nic ciekawego.

— Pokaż.

— Kiedy teraz jeszcze nie warto.

Zmiał papier i schował do kieszeni.

Anka obraziła się.

— Wiecznie ma jakieś tajemnice — myślała. Rozumiem jeszcze ukrywać się przed takim bęb-
nem

jak Krysia, ale mnie mógłby przecież wszystko powiedzieć.

Zasiedli do stołu. Stef znowu małowówny jak dawniej, Anka nadąsana...

Obiad okazał się niemożliwym. Kiedy Anka poszła po brata, zwarzona zupa przypaliła się bardzo.

Spróbowano jednej potrawy, spróbowano drugiej... przełknąć nic nie było można. Szczęściem w spiżarni nie brakło chleba, masła i szynki. Zaszumiła więc woda w imbryku i pożywiono się należycie.

— Wiesz co, Anko — rzekł Stef. — Daj ty pokój temu gotowaniu. To trudne bardzo.

Urażona Anka odparła:

— I owszem. Nie będę sobie dla was parzyła palców. Nie spodziewałam się, że jesteście tacy wybredni.

— Kiedy ty sama też jeść nic nie mogłaś — tłumaczyła się Krysia.

— To co innego. Kucharka zawsze je mało. Sam zapach potraw ją nasycy.

— Ale kiedy twoje potrawy tak brzydko pachniały. Aż okno trzeba było otworzyć — powtarzała siostrzyczka.

Tego już było zawiele dla Anki.

— Cicho bądź, smarkaczu! — krzyknęła. — Że raz nie udało się, to wy spokoju mi nie dajecie! Dokuczacie mi.



Stef i Krysia znaleźli ją leżącą na ziemi.

— Aniu, Aniu... — wtracił Stef. — Co ty mówisz? Kto ci dokucza? Kto?...

Ale dziewczynka porwała się od stołu i uciekła.

Stef i Krysia znaleźli ją potem leżącą na ziemi, w pokoju ciotki Izy i płaczącą gorzko nad „nie wdzięcznością ludzką“.

— Tak się dla was namęczyłam — powiedziała, gdy wreszcie udało się rodzeństwu ułagodzić ją trochę — tak się namęczyłam, a wy tego nawet ocenić nie potraficie.

— Owszem, owszem, oceniamy, tylko... tylko... — jękał się brat, nie wiedząc co powiedzieć.

Wreszcie zawołał:

— Ale jajecznice za to smażyysz doskonale! Żebyś chciała na wieczerzę przygotować nam dobrą porcję!

— Ani myślę — odparła Anka już łagodniejszym tonem. — Smażcie sobie sami.

W końcu jednak dała się uprosić, i zgoda nastąpiła.

XII

Od czasu przyjazdu dzieci do Borucina minęły dni cztery. Nie minęły wesoło. Deszcz jak zaczął padać, tak padał bez przerwy prawie.

Plusk — plusk — plusk! słyszało się od rana do wieczora. Do ogrodu nawet na chwilę wyjść nie było można. „Na dobitkę“ wszystkiego, Krysia dostała kaszlu.

Któregoś dnia, kiedy rozpogodziło się trochę, Stef poszedł kopać w ogrodzie, a Krysia za nim. Nie mógł jej skłonić do powrotu. No, i rezultat był ten, że zaziębła się. Rodzeństwo leczyło ją na wszystkie sposoby, lecz kaszel nie przechodził.

Anka znów miała istne „urwanie głowy“ z temi obiadami. Co którą potrawę ugotowała, to jak „na złość“ potrawa musiała się albo przypalić, albo przesolić albo coś podobnego.

I to sprzątanie to także niełatwa sprawa.

Powodów do złego humoru nie brakło zatem. Albo i Stef. Z początku był rozmowny, bawił się

z siostrami, nagle jednak znowu zrobił się „mru-kowaty“ jak dawniej.

Swoją robotę wykona zawsze, pilnuje lekcji z Anką, to prawda, jest dobry, usłużny, lecz skoro tylko może „zaszywa się“ w jakiś kąt i tyle go siostry widzą.

Usiądą one w kuchni, to on „myk“ do biblioteki — przyjdą tam za nim, to wnet czmycha pod pierwszym lepszym pozorem. Raz nawet słyszały, jak się w swoim pokoju na klucz zamykał.

— Toś ty taki — nie chcesz być z nami, mój panie bracie. Dobrze, dobrze, nie będziemy ci się naprzykrzały — myślała Anka.

Tak więc rzeczy stały, kiedy czwartego dnia po południu, zamglone niebo przetarło się trochę, i snop słabych promieni słonecznych uderzył w okno kuchni.

Dziewczynki grały właśnie w domino.

— Ach mój Boże, słońce zabłysło! — zawołała Krysia. — Może też nareszcie ten szkaradny deszcz przestanie padać? Czy chciałabyś Aniu?

— Pewno, że chciałabym. To wcale niewesoło siedzieć jak w więzieniu. Jeszcze żebyśmy byli wszyscy razem... ale Stef tylko na chwilkę do nas wpada.

— Tak, tak — westchnęła Krysia. — Szkoda jednak, że nie wróciliśmy do domu. My jeszcze sąmi rządzić sobą nie umiemy. Prawda?

— Co ty wygadujesz? — przerwała Anka — Przecież nie mieliśmy pieniędzy na bilety. Ty jesteś za mała, żeby rządzić sobą, ale ja i Stef to coś innego. Zresztą mama za dwa dni już tu będzie. Pisała o tem wczoraj.

— A my dziś mamusi odpisujemy — zabrzmiał głos Stefa,

Wszedł do kuchni jakiś wesoły i rozpromieniony.

— Słuchajcie, moje panny siostry, — rzekł. — Wskoczę na rower, odwiozę naszą kartę do rodziców na pocztę i kupię cukru do herbaty.

— Cóż pisałeś, Stefie? — zapytała Anka.

— Krótko i węzłowato, jak zwykle. Chcecie, to wam przeczytam:

„Najdrożsi rodzice. Jesteśmy zdrowi, tęsknimy i oczekujemy niecierpliwie przyjazdu mamusi“. Czy dobrze?

— Podkreśl jeszcze „tęsknimy“ i „niecierpliwie“ — dodała Krysia.

— I owszem. A nie kupić wam czego w miasteczku? Cały rubel jest w kasie, do przyjazdu mamy wystarczy.

— Tak, tak. Kup mi karmelków. Czuje, że mi to na kaszel pomoże — bolejącym głosem powiedziała dziewczynka.

— Wedle rozkazu — rzekł Stef, śmiejąc się. Salutował siostry i wyszedł z pokoju.

— A jemu co się stało, że tak poweselał? — szepnęła Anka.

Usłyszała ją Krysia.

— Może dlatego, że deszcz nie pada. Ja też byłabym wesoła, żebym wyjść mogła.

Ance zachciało się nagle użyć świeżego powietrza. Słońce ciągnęło ją do ogrodu. Ale jak tu Krysię zostawić samą... ona przecież wyjść nie może, bo kaszle.

Kręciła się Anka po kuchni, kręciła, wreszcie spytała:

— Czy miałabyś ochotę na truskawki, Krysiu? Dziewczynka aż klasnęła w rączki.

— O, i jak jeszcze! I jak!

— No, to ci pójde narwać. Zgoda?

— I ja z tobą. Weź mnie także.

— Nie, Krysiuniu, nie można. Wiesz, że mamusia nie pozwalała ci wychodzić zaraz po deszczu. Truskawki są na samym końcu ogrodu. Pamiętasz, przyrzekłaś mamusi, że będziesz nas słuchała... No cóż, zostaniesz w domu?

„Pannie Krysi“ przypomniała się dana obietnica, a jednocześnie zapachniały jej truskawki. Pomysłała więc chwilkę i szepnęła z rezygnacją:

— Zostanę...

Anka uścisnęła siostrzyczkę.

— Otóż tak, to rozumiem. Odpowiedziałaś zupełnie jak dorosła osoba. (W ustach Anki była to

największa pochwała). Przecież nie boisz się zostać sama. Zresztą Mruczuś będzie ci dotrzymywał towarzystwa.

Ale tymczasem ktoś zgoła inny i zgoła nieoczekiwany dotrzymywał towarzystwa małej Krysi podczas nieobecności rodzeństwa.

XIII

Dom ciotki Izy stał w ogrodzie, zwrócony frontem do szosy. Od tyłu przylegała do niego „przybudówka“, w której mieściła się kuchnia ze szczytowym oknem, wychodzącym na wąską drożynę polną z drugiej strony parkanu, oraz z małym, oszklonym ganeczkiem.

Tuż obok kuchni znajdowała się w parkanie furtka z dzwonkiem, zamykana na łańcuch i mocny rygiel.

Drożyną polną pędził Stef do miasteczka, a przez okno kuchni śledziły go oczy Krysi.

Skoro chłopiec znikł na zakręcie drogi, uwagę dziewczynki zajęła jakaś staruszka, zbliżająca się wolno do ich domu.

Staruszka widocznie była zmęczona, bo nagle przysiadła na dużym kamieniu, leżącym wprost okna kuchni, a później, widząc przytuloną do szyby twarzyczkę Krysi, zerwała się i pociągnęła lekko sznurek u furtki.

— Dzeń, dzeń, dzeń! — zabrzączał delikatnie dzwonek.

Krysia bez namysłu skoczyła by drzwi otworzyć.

— Wejdźcie, babciu — zapraszała.

— Taka-m zmęczona, taka-m głodna, jeść mi się chce — żaliła się staruszka.

Krysia miała dobre serce. Usadziła babulkę za stołem, nalała jej szklankę mleka, ukroiła chleba i sera, a potem, oparłszy bródkę na rękach, zaczęła ze swym gościem rozmowę.

Staruszka zaś popijając mleko, pytała:

— Gdzieżto mamusia panienki? Czy wyszła?

Dziewczynka zaśmiała się.

— Ho, ho, moja mamusia daleko stąd. W mieście.

— A tatuś?

— I tatuś także.

— Więc z kim panienka tu mieszka?

— A z bratem i siostrą.

— Pewnie dorosli już?

— No tak. Niby. Niezupełnie.

— Ale nauczycielka jest tutaj z panienką?

— Gdzie tam. Nikoguteńko niema.

I Krysia zaczęła opowiadać ze szczegółami wszystko, co zaszło.

Staruszka słuchała bardzo uważnie, kręciła głową i dziwiła się „rozumowi panienki“ tak bardzo, że pewnie ze zdziwienia zapomniała o jedzeniu.

Nakoniec wstała z krzesła.

- Czas już na mnie, panienko.
- A chleba nie jecie?
- Nasyciło mnie już mleko.
- To wam zawinę chleb na drogę.
- O dobrze, dobrze. Dziękuję paniencie.

I mimo zaproszeń, by zaczekała do powrotu siostry lub brata, wyszła czempredzej.

— Wiesz, że miałam gościa — mówiła dziewczynka w kilka chwil później do wracającej z truskawkami Anki.

- Co? Gościa? Jakiego? Gdzie?
- Gdzieżby. Tutaj.

Poczem Krysia powtórzyła swą rozmowę ze staruszką.

— Wcale nie jestem zadowolona, że ją tutaj wpuściłaś. Niewiadomo co to za kobieta — rzekła Anka, kręcąc głową.

— Ale ja wiem — oburzyła się siostrzyczka. — To taka dobra, śliczna staruszka. Ty zawsze różne rzeczy podejrzewasz.

— No, no... Zobaczmy co Stef na to powie. Włóż kalosze, otul się dobrze, na ścieżkach sucho, wyjdziemy za parkan na jego spotkanie.

Stef powiedział to samo co Anka, a choć nie pokazał tego siostrze, zaniepokoił się nie na żarty.

Zaraz też zsiadł z roweru i zaczął rozglądać się bacznie dokoła.

— W którą stronę poszła ta staruszka? — zapytał.

— Tu, prościutko przez pole.

— Kiedy tu rów. Kładki niema. Jakżeby staruszka przez taki rów przeskoczyć mogła? Pewnie ci się zdawało.

— Wcale nie. Przeskoczyła leciutko. Aż się zdziwiłam sama.

— I mnie to dziwi — szepnął chłopiec do siebie, nachylając się nad rowem.

Wtem zawołał:

— Patrzcie no, tam leży „coś” białego. Jakaś paczka.

Skoczyć do rowu, podnieść paczkę, było dla Stefa czynem jednej chwili.

I oto co się pokazało.

Owo „coś” był to owinięty w papier chleb i ser, który przed chwilą Krysia dała staruszce.

„Trójka” spojrzała na siebie zdumiona.

— Widocznie paczka wysunęła się jej z pod chustki, gdy przeskakiwała przez rów — szepnęła Krysia.

— Może być — potwierdziła Anka.

Ale Stef myślał co innego. Straszne podejrzenie obudziło się w jego duszy. Nie rzekł jednakże ani słowa.

XIV

— Aniu, chodźmy na pole—prosiła następnego popołudnia Krysia.

— Na pole? Mało ci jeszcze ogrodu?

— Wcale nie mało. Tylko tam w zbożu rosną takie śliczne maki. Urwiemy sobie trochę.

Anka z zasady nie ustępowała odrazu, lubiła żeby ją proszono, więc choć jej także uśmiechało się zrywanie maków, odrzekła jednak uparcie:

— Nie pójdziesz. W ogrodzie masz dosyć kwiatków.

Ale Krysia знаła „słabą stronę“ swej siostrzyczki, więc prośby trwały dopóty, aż nastąpiła zgoda.

— No to już chodźmy, tylko włóż grubsze buciki, Krysiu. Na polu może jeszcze mokro.

Krysia wyszła. Anka zwróciła się do brata:

— Pójdziesz z nami, Stef? To przecież naprzeciw domu. Zresztą zamkniemy drzwi na klucz.

— Nie mogę, Anko. Jestem zajęty.

— Czem?... Powiedz, Stef, dlaczego ciągle kryjesz się po kątach?

Chłopiec zarumienił się gwałtownie.

— Mówiłem ci już. Mam zajęcie.

Wzruszyła ramionami.

— Taka odpowiedź dobra dla Krysi, ale nie dla mnie. Przed dzieckiem można mieć tajemnice, lecz nie przed swoją rówieśnicą, a do tego siostrą.

Stefanowi przyszło w tej chwili na myśl, że ta „rówieśnica“ jest przeszło trzy lata od niego młodszą, myśl tę jednak przezornie schował dla siebie, tylko pocałował siostrę.

— Nie gniewaj się, Aniu — rzekł — ale... ale... to naprawdę tajemnica... do czasu. Jutro... pojutrze dowiesz się wszystkiego,

— Ach tak! Tajemnica — powtórzyła siostra obrażona. Schowaj zatem ją dla siebie. Wcale nie jestem ciekawa.

W złym humorze wyszła Anka z domu, ale zły humor prędko ustąpił wobec cudnej pogody i łanów zboża, przetykanego krasnemi makami.

Używały też dziewczynki na tych makach ile dusza zapragnęła, zrywane kwiaty znosząc zewsząd w jedno miejsce.

— No, już dosyć — rzekła Anka. — Skręmy teraz na prawo, na gościńcu zabawimy się trochę w piłkę, a wracając, zabierzemy kwiaty.

Szeroki gościniec pusty był; nic i nikt nie przeszkadzał zabawie w piłkę.

Dopiero po kilku chwilach dały się słyszeć głosy i kroki nadchodzących osób. Dwaj mężczyźni minęli dziewczynki. Jeden z nich obrzucił je badawczym spojrzeniem.

Anka, która w gruncie rzeczy była, jak to mówią, „tchórzem podszyta“, zaniepokoiła się.

— Wracajmy, rzekła do siostry. Czas na podwieczorek.

— Jeszcze trochę pobawmy się.

— Nie, Krysiu, Już dosyć.

I mimowoli przyspieszyła kroku.

— Dlaczego tak pędzisz, Anko? — spytała Krysia. — Myślałby kto, że uciekamy.

Może i ci dwaj ludzie myśleli to samo, bo jeden zawołał:

— Hola! hola! Zatrzymajcie się tam ino!

Ance krew buchnęła do głowy.

Któż to ośmiela się tak wołać na nie. Udała więc, że nie słyszy i szła jeszcze prędzej.

— Hola! Hola! — rozległo się powtórnie, — Cóż to, ogłuchłyście, czy co?

Anka odwróciła głowę.

Jeden ze spotkanych mężczyzn szedł w ich stronę.

Serce załomotało w piersiach dziewczynki.

— Co tu robić? Uciekać? Nie, jeszcze gorzej będzie. Pomyśli, że mamy pieniądze. Ach, żeby kto nadszedł! Boże! Boże

A człowiek tymczasem już stał przy nich. Zdjął czapkę, uklonił się i spytał dość grzecznie:

— Gdzież to panienki idą?

Na co Krysia odpowiedziała z uśmiechem:

— Idziemy do domu, proszę pana.

— A mamusia i tatuś czy przyjechali?

— Nie jeszcze, za parę dni dopiero tu będą — odrzekła dziewczynka, nie zastanawiając się skąd ów człowiek, widząc je pierwszy raz w życiu, może wiedzieć, czy rodzice są z nimi.

Ance jednak przyszło to na myśl, pociągnęła więc siostrzyczkę za rękaw i rzekła patrząc na nieznajomego „z góry“ (tak się jej przynajmniej zdawało).

— To do pana wcale nie należy. Nie mamy na rozmowę czasu. Czekają nas.

— A kto czeka? — było nowe pytanie.

Pozostało jednak bez odpowiedzi. Dziewczynki oddaliły się spiesźnie. Lecz nie same. Nieznajomy towarzyszył im mruczając coś, czego one jednak nie rozumiały.

Nagle wyciągnął rękę. Ance, która z pod oka śledziła jego ruchy, wydało się, że chce je zatrzymać, schwyciła więc Krysię i obiedwie poczęły biec ku domowi ile sił starczyło.

A nieznajomy za niemi.

Zapewne pogoń nie byłaby długą. Gdzież mierzyć się dzieciom z dorosłym mężczyzną? Lecz na szosie rozległo się głośnie wołanie.

— Coś ty zwarzował? Wracaj głupi!

Tak człowiek, który pozostał na szosie, przywoływał swojego towarzysza.

Ten usłyszał go, zatrzymał się, parsknął głośnym śmiechem, pogroził dziewczynkom, czego na szczęście nie dostrzegły i zawrócił z drogi.

A one zziębnięte stanęły przed furtką.

Teraz czuły się już bezpieczne. Były u siebie.

— A pamiętaj — rzekła Anka — nie trzeba mówić Stefowi o naszej przygodzie.

— Dlaczego? — spytała Krysia.

— Zaniepokoiłby się. To przecież nie było nic ważnego. Więc trzymaj język za zębami.

W myśli zaś dodała:

— Aha, i ja mam swoją tajemnicę.

XV

Krysia okazała się jednak zupełnie niezdadną do zachowania tajemnicy i języczka za zębami utrzymać nie mogła. Nazajutrz, po obiedzie, gdy Anka wyszła po coś do spiżarni, „wypaplała“ bratu całe zdarzenie.

Stef zaniepokoił się nie na żarty.

Zaraz też przypomniał sobie, że przeszłej nocy usłyszał jakby coś ciężkiego wpadło przez parkan do ogrodu. Nie spał jeszcze, mając głowę czemś ważnem zajętą, ale ponieważ później po owym stuknięciu nastąpiła cisza, więc sądził, iż to było przywidzenie.

— Może to Mruczuś znowu odbywa swoje nocne spacer? — pomyślał.

Aż tu teraz dowiaduje się o takim podejrzanym spotkaniu.

— Andiu, dlaczego mi nic o waszej przygodzie nie powiedziałaś? — zapytał wchodzącej do pokoju siostry.

Niewiadomo jaką byłby usłyszał odpowiedź, bo w tej chwili Kryśia zawołała:

— Krowa w ogrodzie! Patrzcie! Krowa w ogrodzie!

Dzieci rzuciły się ku drzwiom.

Rzeczywiście ładna, graniasta krówka chodziła sobie najspokojniej po trawniku.

— Skąd się ona tu wzięła?

— Kto ją wpuścił?

— Stef, to ty otwierałeś piekarzowi...

— Patrzcie. Krowa biegnie prosto na klomby!

— Trzeba ją wypędzić!

Takie okrzyki krzyżowały się w powietrzu. Zaczęło się wypędzanie krowy. Ale nie szło rażno. Wypędzający przeszkadzali sobie wzajemnie. Jedno zabiegało od tyłu, drugie od przodu, trzecie z boku, a rezultat był ten, że przestraszone zwierzę pędziło na oślep przed siebie, gniotąc i niszcząc starannie utrzymane klomby, przewracając doniczki z kwiatami.

— Inspekta! Wpadnie na inspekta! — wołała rozpaczliwie Anka.

Wprawdzie w inspektach nic już nie było, ale krowa mogła potłuc szyby.

Tak się też i stało. Do krzyku i tupotu przyłączył się jeszcze brzęk donośny.

Brzęk przestraszył krowę, zatrzymała się na chwilę, co pozwoliło Stefowi schwycić koniec sznu-

ra wiszącego u jej rogów i wyprowadzić ją z ogrodu na pobliską łąkę. Pozostawała teraz do rozstrzygnięcia kwestja, kto nie zamknął furtki.

— To ty otwierałeś piekarzowi i zamykałeś drzwi za nim — powtarzała Anka.

Chłopiec nie bronił się. Jakieś uparte myśli zaprzętały mu głowę, nie dały spać w nocy i dziś obudziły raniutko. Więc pewnie zajęty nimi nie uważał i drzwi nie zamknął, nawet na klamkę.

Przyznał się więc odrazu i rzekł ze smutkiem:

— Tak, to z pewnością ja zrobiłem.

Szczere przyznanie się do winy rozbroiło Ankę, zagniewaną wciąż na brata za ukrywanie czegoś przed nią, zawołała więc:

— No, trudno. Już się stało. Trzeba teraz uporządkować ogród po tej napaści.

Szkody były niewielkie. Zdeptany trawnik, trochę połamanych gałązek, kilka przewróconych doniczek i dwie szyby stłuczone w inspektach.

— Właściwie tylko te szyby są rzeczywistą szkodą — powiedziała Anka.

— A tak — dodał Stef. — Pójdę jeszcze zobaczyć, czy róże pod ścianą werandy nie są połamane.

Róże były całe. Stef jednak zobaczył tam coś takiego, co przeraziło go stokroć więcej, niż gdyby był znalazł wszystkie szyby wybite i wszystkie róże zniszczone.

XVI

Pod ścianą werandy leżało kilka przewróconych doniczek... Schylając się by je podnieść, Stef dostrzegł odcisnięte wyraźnie ślady męskich stóp na ziemi.

Przetarł oczy... Nie, to nie złudzenie, ślady są zupełnie świeże.

A zatem owe podejrzone odgłosy słyszane w nocy, były prawdą... Złodzieje krążyli około domu... Kto wie, dostali się może do środka?

To ostatnie przypuszczenie upadło jednak po troskliwym obejrzeniu każdego zakątka. Wszystkie drzwi i okna były w porządku. Ale ktoś zaglądał widocznie do domu, bo ślady stóp powtarzały się jeszcze w kilku miejscach pod oknami... a potem zniknęły.

— Nic dziwnego, na twardych, wyłożonych cegiełkami drózkach nie mogły się przecież odcisnąć...

W pierwszej chwili Stef uspokoił się trochę.



— Złodzieje nie zakradli się jeszcze do środka, bo chyba przez komin staćby się to mogło... — powiedział sobie. — Ale co będzie tej nocy, lub następnej? Jakaż teraz rada?

Różne myśli kłębiły się w głowie chłopca... jedna powracała ciągle.

— Wysłać depeszę do rodziców!

— Tak! — postanowił наконец — zrobić to. Pojadę na rowerze do miasteczka, pożyczę pieniędzy od pocztmistrza... nie odmówi mi chyba i zadepeszę do rodziców... Natychmiast przyjadą.

Zastanowił się... Ach! To „natychmiast“ do piero jutro nastąpić może... Przecież tylko jeden ranny pociąg odchodzi do miejscowości, w której oni mieszkają... Co do tej pory stanie się tutaj? A może nic? Może złodzieje, przekonawszy się, że dom zamknięty jak twierdza, porzucili swój zamiar?... Czy nie dobrze byłoby powiedzieć o tem komu w miasteczku i o pomoc prosić?... Nie uwierzyliby może i wyśmiał się z tchórzów... Brrr... Stef otrząsnął się... Nie, on na tę nazwę nigdy nie zasłuży... Ale depeszę do rodziców wyślę natychmiast. To mój obowiązek — pomyślał.

I z tem postanowieniem wrócił do swego pokoju.

Leżało tam na stole kilka rzeczy: otwarta mała książeczka, rogowe pudełko z tajemniczym naszyjnikiem i arkusz papieru, pozapisywany literami.

Stef wybiegając do ogrodu, zapomniał schować tego wszystkiego do szuflady. Teraz wła-

śnie chciał to uczynić, lecz rzuciwszy okiem na papier, stanął jak wryty, a później opadł ciężko na krzesło.

Wysłanie depeszy do ojca, przygoda z krową, niepokojące ślady w ogrodzie... wszystko na razie wywietrzało mu z głowy, wobec czegoś, nieoczekiwanego zgoła.

XVII

— No i gdzie się ten nieznosny Stef znowu podział? — mówiła Anka w kilka godzin później. — Przepadł, jak kamień w wodzie. Już czwarta. Właśnie dzisiaj obiad udał mi się doskonale, a jego niema.

— Ej, co mi tam za obiad — mruknęła Krysia. — Ciągłe to samo: herbata, chleb i szynka. Niema żadnej potrawy.

Oburzyło to Ankę.

— Doprawdy? Niema... A kaszka to nie potrawa, a jajecznica to nie potrawa, a kartofle w lupinach?...

— No tak... Jednak Józia u nas w domu inne potrawy gotuje.

— Ja też nie mam pretensji dorównywać Józi. Zresztą komu nie smakuje, ten może nie jeść. A tymczasem trzeba poszukać Stefa.

— Stef jest w jadalni. Drzwi od korytarza były otwarte, widziałam jak wchodził.

— I pewnie zamknął się jeszcze na klucz swoim zwyczajem?

— Tego już nie wiem... Ale najlepiej pójdźmy do niego.

Cichutko przesunęły się dziewczynki przez korytarz.

Puk... puk... do drzwi.

Milczenie.

Puk... puk... znowu.

Cisza.

— Stefku, czy jesteś tam? Otwórz. Czy można wejść?

Żadnej odpowiedzi... Przycisnęły klamkę... weszły... jadalnia była pusta.

Rozejrzały się zdziwione. Co to znaczy? Którędy Stef mógł wyjść? Nie przez korytarz, bo drzwi z kuchni do korytarza ciągle były otwarte, więc widziałyby go z pewnością.

— A może wyszedł do sieni?

Lecz drzwi do sieni były od wewnątrz na klucz zamknięte. Zajrzały pod stół, za firanki. Nikogo niema...

— Naprawdę... gdzie się ten chłopak mógł podziać? — rzekła Anka.

— Może przez okno wyszedł do ogrodu? — poddała Krysia.

Starsza siostra spojrzała na nią pogardliwie i wzruszyła ramionami.

— Także myśl! Czy nie widzisz, że okno zamknięte wewnątrz na antabę?

Pokój zaległo milczenie... Dziewczynki bezwiednie odwróciły się na chwilę do okna i patrzyły na ogród. W tem drgnęły przestraszone. Jakies ręce oparły się na ramieniu jednej i drugiej.

— O mój Boże! Co to? — krzyknęły, oglądając się.

— Nic. To ja — odpowiedział głos znany.

Imci pan Stef, we własnej osobie, stał przed nimi taki wesóły i uśmiechnięty, jakim go od chwili przyjazdu ani razu jeszcze nie widziały.

— Stef! Skąd się wziąłeś?

— Byłem tutaj ciągle.

— Co znowu! Przeszukałyśmy przecież wszystkie kąty.

— A jednak ani na chwilę nie wychodziłem z pokoju. Chcecie się o tem przekonać?

— Naturalnie, że chcemy. Zrób się jeszcze raz niewidzialnym, jeżeli takie sztuki potrafisz.

— I owszem... Zamknijcie tylko oczy na chwilę i liczcie głośno do dwudziestu. Ale dajcie mi słowo, że nie otworzycie wcześniej oczu?

— Dajemy! Dajemy!

Stef wiedział, że siostróm ufać można. I nie zawiódł się.

Przycisnęły twarzyczki do ściany, zamknęły oczy i liczyły głośno.

Ale uszka nadstawiły ciekawie.

Dobiegł ich lekki, leciutki szelest... potem cisza.

— Osiemnaście... dwadzieścia... Odwróciły się... Spojrzały.

Stefa nie było w pokoju! Znikł, jakby się ziemia pod nim rozstąpiła!

— Zamknijcie oczy, liczcie znowu! — dał się słyszeć głos przytłumiony, niby wychodzący z jakiejś głębiny.

Usłuchały... Gdy w oznaczonej chwili otworzyły oczy, brat znowu stał przed nimi.

Załopotały serca dziewczynkom... Strwożone źrenice spojrzały na Stefa niespokojnie.

Czarownik jaki czy co?

A Stef wybuchnął głośnym, długim śmiechem. Siostry nigdy go jeszcze takim rozweselonym nie widziały.

Po chwili dopiero uspokoił się i spytał:

— Chcesz, Aniu, to zrobię tę samą sztukę, z Krysią?

— I owszem. Zrób.

— Tylko zamknij oczy i uszy zasłoń, bo muszę Krysi coś powiedzieć. Spojrzysz, skoro dotknę cię ręką.

Krótką chwilą oczekiwania... Na dany znak Anka otwiera oczy... spogląda... Krysia zniknęła bez śladu, a Stef znowu śmieje się do rozpuku.

— Ha, ha, ha! Ha! Ha!

— No teraz ci powiem co to wszystko znaczy — mówi nareszcie. — Patrz, Anko.

Zbliżył się do drewnianej lamperji, otaczającej jadalnię, przycisnął małą, rzeźbioną rozetkę i oto część lamperji odskakuje w bok niby drzwi, a z głębi schowanka wychyla się uśmiechnięta twarzyczka Krysi.

— Anko, teraz na ciebie kolej... Schowaj się także. Nie, Krysiu, nie potrzebujesz wychodzić. Zmieściecie się obiedwie... Tylko same sobie otwórzcie drzwi... Trzeba z drugiej strony przycisnąć ten guzik, wtedy sprężynka zaraz odskoczy... No, raz, dwa, trzy...

Słychać wybuchy śmiechu w schowanku, potem trzask sprężyny i obiedwie dziewczynki ze strzepami pajęczyny na głowie i na sukienkach wyskakują z kryjówki.

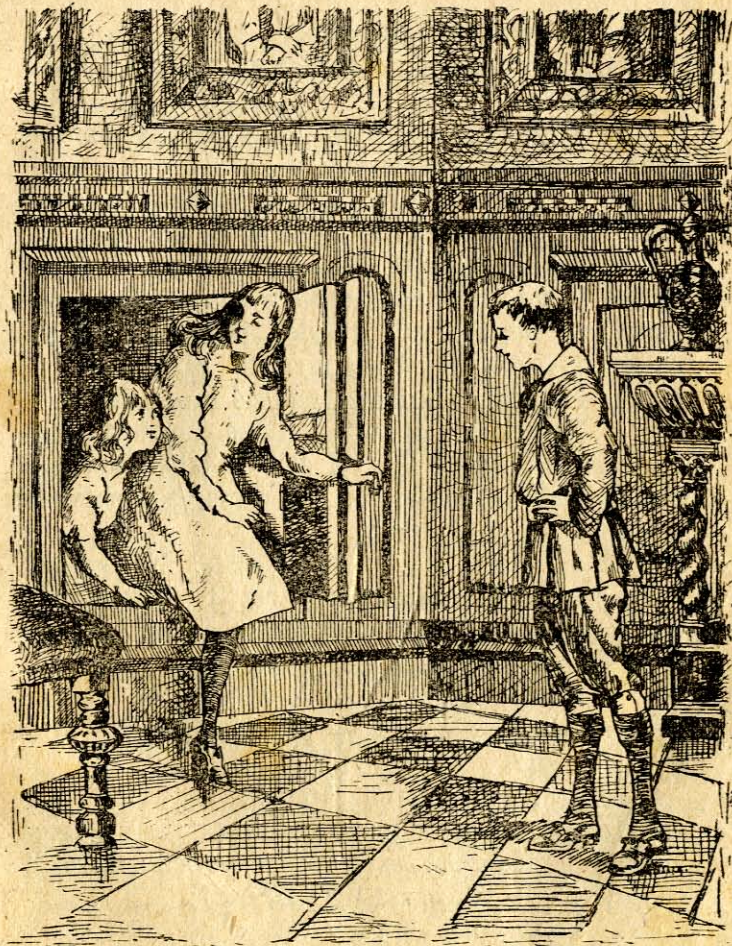
— Słuchaj Stef, powiedz mi teraz, jak wynalazłeś to schowanko? — prosi Anka.

Twórca chłopca spoważniała.

Wolno, patrząc na siostrę, powtórzył czterowiersz dziadka:

„Naszyjnik ten ważną tajemnicę powie
Temu, kto jest ciekawy i ma rozum w głowie.
Jest on kluczem ukrytym. Znajdźcie klucz
do klucza,
Tak was, wnuki kochane, wasz dziadek
naucza“.

— Co! Co! Ty odkryłeś tajemnicę naszyjnika!
Ty! To być nie może!



Obiedwie dziewczynki wyskakują z ukrycia.

— A jednakże jest, Anko.

— I co cię na to odkrycie naprowadziło? Jakim sposobem?

— Wszystko objaśnię, tylko trochę później, skoro mamusia przyjedzie.

— I to pewnie była owa tajemnica, o której miałeś mi powiedzieć? — spytała Anka.

— Tak. Nie mogłem jednak powiedzieć ci wprzód, bo jeszcze sam dobrze nie wiedziałem. Coś majaczyło mi się tylko po głowie. Dopiero przed paru godzinami nagle dobra myśl mi błysnęła.

— I dlatego tak się zamykałeś przed nami?

— Naturalnie, że dlatego. Nie chciałem, żebyście mi przeszkadzały. Myśl tak łatwo spłoszyć można. Ale chodźmy już na obiad, bo naprawdę jeść mi się chce bardzo.

Obiad odbył się bardzo wesoło. Na ostatnie danie zjawiły się nawet konfitury, bo, jak mówiła Anka, trzeba było czemś uczcić takie ważne zdarzenie, jak odkrycie tajemnicy naszyjnika.

— A po obiedzie zabawimy się w co, ale długo, do samego wieczoru — prosiła Kryśia. — Dobrze, Stefku?

Lecz Stef nic nie odpowiadał. Czy słowa siostrzyczki przypomniały mu coś takiego, o czym chwilowo zapomniał, czy z innego powodu, dość, że skoczył nagle jak oparzony i zawołał:

— Muszę natychmiast jechać na rowerze do miasteczka.

Anka chwyciła brata za rękaw.

— Zwarzowałeś, Stef, a to poco? Zostań.

— Mam interes...

— Ale jaki? Powiedz, co ci znowu strzeliło do głowy?

Chłopiec serdecznie pocałował siostrzyczkę, nie zważając na jej niekoniecznie miłe słowa.

— Nie mogę ci teraz powiedzieć, więc mnie próżno pytasz.

Potem uśmiechnął się i dodał:

— To niespodzianka... Dowiesz się później.

— Wcale nie jestem ciekawą twoich niespodzianek. Schowaj je dla siebie — brzmiała „uprzejma“ odpowiedź Anki.

I odeszła nadąsana.

A Stef za chwilę pędził na rowerze do miasteczka...

Z obu stron drogi szumiały drzewa — gdzieś w górze dzwoniły skowronki — skądś nadpływały powietrzem, zmieszane wonie polnego kwiecia... Słońce świeciło. Było cicho... spokojnie...

W duszy chłopca jednak wrzała burza. Czuł, że coś wisi nad niemi, czuł, że jakieś niebezpieczeństwo się zbliża... Jak przed nim obronić, nie siebie, ale te dwie ukochane siostrzyczki oddane mu w opiekę?... Czy dobrze robi wysyłając depeszę do rodziców i niepokojąc ich tak bardzo? A może to wszystko jest tylko jego przywidzenie?

Tajemnica starego dworu

Czwarta Publikacja Kwartalnika
Szkoła Powszechna w Gnieźnie
Nr. dz.

Ślady stóp w ogrodzie mogły być także śladami jakiegoś ciekawego przechodnia, który widząc otwartą furtkę od ogrodu, wszedł tam bez żadnego złego zamiaru...

Różne przypuszczenia przesuwają się przez głowę biednego chłopca... ale żadne uspokoić go nie mogło.

XVII

Stef wrócił prędko i zastał obiedwie siostrzyczki w nieszczególnych humorach.

— Aha, była maleńka burza — szepnął do siebie cichutko, patrząc na zgięte w podkowę usteczka Krysi i rozczzerwienioną Ankę.

Rzeczywiście, cały spór poszedł o niego. Anka twierdziła, że Stef musi mieć z pewnością „źle w głowie“, bo inaczej nie pędziłby niewiedomo po co do miasteczka.

— I to jeszcze w taki upał — dodała pogardliwie.

Wtedy Krysia wystąpiła z gorliwą obroną brata:

— Właśnie, że Stef ma „dobrze w głowie“, nawet nie tylko dobrze, ale doskonale. A kto odgadł, czego inni odgadnąć nie mogli?

— Wielka mi sztuka. Zapewne przypadkiem to się stało.

Krysia roześmiała się głośno.

„Przypadkiem“? Aha! Dlaczego ciebie ten przypadek nie spotkał?

— Bo... bo... bo się wcale o to nie starałam. Miałam ważniejsze rzeczy na głowie.

Mała dziewczynka wzruszyła ramionami.

— Jakie tam ważniejsze! To Stef przecie o wszystkich takich rzeczach myśli.

I jako ostateczny argument dodała:

— Nawet ciebie po francusku uczy. Więc musi mieć dobrze w głowie.

Tak, to było prawdą. Stef ją uczył i sam bardzo skrupulatnie, bardzo pilnie, przygotowywał się do każdej lekcji. Temu Anka nie mogła zaprzeczyć, uznała więc za najlepsze obrazić się na siostrzyczkę, spojrzeć na nią zgóry i odejść na drugi koniec pokoju. Do brata również ani słowa na powitanie wyrzec nie raczyła.

Lecz Stef prędko dobry nastrój w domu powrócił.

Pokreślił się tu, tam, pomyślał chwilkę i nagle zaproponował:

— Słuchajcie, panny siostry. Czy nie chciałybyście jeszcze raz obejrzeć skrytkę? Mnie się zdaje, że tam są zagłębienia z boku! Cóż, Anko, pójdziemy? Zadecduj.

Jak ten Stef znał doskonale swoją siostrzyczkę, jak umiał czytać prawie w jej myślach.

To jedno słówko „zadecduj“ zadecydowało też o powrocie dobrego humoru.

Anka raczyła się uśmiechnąć i odparła:

— Już dawno powinniśmy byli doskonale, ze świecą skrytkę obejrzeć, a nie tak powierzchownie. Nie chciałam ci jednak narzucać swego zdania. Pójdziemy.

— Ale wiesz, Anko — rzekł Stef, gdy już odsunęli rozetę w lamperji i czarna głębia skrytki ukazała się przed nimi — może lepiej ty obejrzyj sama. Niższa jesteś odemnie, łatwiej wsuniesz się we wszystkie kąty.

— Przecież ja jestem najmniejsza, ja zrobiłabym to najlepiej — wsunę się wszędzie — odezwiała się bardzo roztropnie Krysia.

Ale Stef potrząsnął przecząco głową.

— Nie, nie. To nie robota dla takich malców. Tu potrzeba kogoś roztropnego. Zrobi to najlepiej Anka, naturalnie — dodał — jeżeli zechce.

Żaden balsam przyłożony na ranę zaognioną i bolącą nie podziałałby lepiej, jak te słowa, na zadraśniętą, całkiem niestusznie, dumę Anki. W gruncie rzeczy, choć nie przyznawała tego przed sobą, zazdrościła jednak bratu odkrycia tajemnicy.

Bo że odkrył, trudno było zaprzeczyć. I to sam, bez niczyjej pomocy. Czemuż ją do wspólnej pracy nie zaprosił? Tego nie mogła mu darować! Ale może i ona także coś odkryje? Stef widocznie nie miał czasu zbadać dobrze skrytki. Może się bał? Po takich kątach kryją się myszy, szczury

i Bóg wie co tam jeszcze... Choć Stef także odważny... Lecz i najodważniejsi boją się czasem czegoś bardzo małego np. myszy... Ona sama, Anka, chyba zemdlałaby ze strachu, gdyby tak wsunawszy się wgłąb skrytki i szukając wszędzie, ręką myszy dotknęła. Brr... brr... Dreszcz obrzydzenia wstrząsnął dziewczynką...

Myśli te przesunęły się szybko przez jej główkę, gdy stała patrząc w tajemnicze wnętrze skrytki.

Ale cofać się teraz wstyd było... I przytem, a nuż... a nuż... ona coś naprawdę odkryje. Zresztą była już tam razem z siostrzyczką i Stef krył się także... Więc na słowa brata odparła spiesźnie:

— Naturalnie, że zechcę, tem więcej, że kto inny nie mógłby tego zrobić. No, raz, dwa, trzy.

I zwinnie, jak myszka, wsunęła się do środka kryjówki...

Poszukiwania na prawo, na lewo nic nie wykryły. Anka odważnie, choć ściskając zęby ze strachu wsuwała rękę we wszystkie zagłębienia skrytki, których nie brakło, lecz bezskutecznie.

— Nic niema. I tu nic niema. I tam nic. Już wszędzie szukałam, już chyba wyjdę — ozwał się jej głos przytłumiony, pełen zawodu.

Brat jednakże nie przestawał zachęcać ją i prosić.

— Jeszcze trochę poszukaj, Aneczko. Tak dobrze, jak ty to umiesz.

Anka rzeczywiście szukała dobrze. Drobne pa-

luszki wsuwały się w najmniejszą szczelinę, badały troskliwie najmniejszy załom, przyciskały każdy wystający kawałek drewna. Zapomniała o myszach i szczurach, wykrecała się w ciasnej kryjówce na wszystkie strony. Naraz krzyknęła. Palce jej trafiły na małe żelazne kółeczko...

— Jest! Jest! Znalazłam! Jest!

Co takiego? Co znalazłaś? Ja też wejdę!

Krysia rzuciła się do otworu kryjówki.

Ale Stef z dziwnym uśmiechem na ustach wstrzymał siostrzyczkę.

— Nie, nie. Anka sama! No i cóż? Co znalazłaś?

— Nie wiem — słychać z głębi szept pełen radości. — Ciągnę kółko co siły... O już... podnosi się tafelka jakaś do góry!... Już! Już! Skrytka w skrytce!

— Wsuń tam rękę! Wsuń! — komenderował Stef.

— Kiedy... — Anka chciała powiedzieć — kiedy boję się — lecz wstrzymała się w porę.

I zamiast tego odrzekła:

— Zaraz, zaraz... Och, Stefie!... Tam w głębi jest jakieś pudełko, czy skrzynka, sama nie wiem... ale ruszyć jej nawet nie można, przyśrubowana czy co... Och, Stefie! Taka jestem szczęśliwa! To ja ją odkryłam! Ja sama!

— Gdzie? Pokaż! Wyjdź teraz, to ja się wsunę — wołała niecierpliwie Krysia, nie mogąc ustać

spokojnie na miejscu. — Stefku, wejdź ze mną... Czemu się nie cieszysz? Czemu się nie dziwisz?

— Przeciwnie, bardzo się cieszę, tylko inaczej, niż ty. Może już wyjdiesz, Anko? Trzeba tam wpuścić Krysię, kiedy tak już chce koniecznie.

— Zaraz, zaraz. Jeszcze poszukam, może się jeszcze co znajdzie?

— Z pewnością nic już niema — twierdził Stef.

— Skąd możesz wiedzieć? Nie szukałeś przecie. Ach tak, nic niema... Już wychodzę...

Czy Stef szukał, czy nie szukał, o tem tylko sam mógłby powiedzieć, ale on milczał i dopiero gdy Anka wyszła, począł jej gorąco winszować.

— A to ci się udało, siostrzyczko! Zuch z ciebie. Teraz ja wsunę się z Krysią.

Lecz Krysia już tam siedziała, wykrzykując na różne tony:

— Jest pudełko! Jest! Takie zimne, pewnie żelazne! Oho, i zamek pod palcami czuję! Żeby to można zobaczyć co tam jest w środku? Stef, chodź, czyś ty nie ciekawy?

— Bardzo jestem ciekawy. Tylko czekam, żebyś ty wyszła. We dwoje ciasno bardzo, obrócić się nie można.

Kiedy już Krysia, po dostatecznem nadziwieniu się, nawykrykiwaniu i naobszukiwaniu wszystkich zagłębień, bo także chciała koniecznie coś odkryć, zdecydowała się wreszcie opuścić kryjówkę. Stef

wszedł na jej miejsce, przyświecając sobie kawałkiem świecy.

— Ho! ho! — ozwał się jego głos pełen podziwu. — Nadzwyczajne! Skrzynka ogromna! Trzeba teraz umieścić płytkę na dawnym miejscu! Już zrobione.

— Nie spróbujesz wyciągnąć pudełka, Stef? — spytała Anka, skoro brat wyszedł już z kryjówki.

— Ruszyć go nawet nie można, takie ciężkie.

— Jak myślisz, co tam jest w środku?

— Czy ja wiem? Może te klejnoty, o których ojciec wspominał?...

Anka była jak oszołomiona dokonaniem przez siebie „odkryciem“.

— Ach, Stefie — mówiła — w głowie mi się kręci.

— Te pewnie dlatego, że byłaś tak długo nachylona — przerwała Krysia.

— Co ty wiesz, dzieciaku. To z radości!... Takie odkrycie! I to ja sama, samiutka! Nikt mi nie pomagał! To dopiero tatuś i mamusia ucieszą się! Zaraz, dziś jeszcze trzeba do nich napisać! No, Krysiu, widzisz, że nietylko Stef ma „dobrze“ w głowie! Ach, mój Boże, jakże się cieszę!

Tak wykrzykiwała Anka, nie zauważywszy wcale dziwnego wyrazu na twarzy Stefa i jego spokoju wobec „niespodziewanego odkrycia“. Spostrzegła to nawet Krysia i pomyślała:

— A może już on o tem wiedział.

Byłaby pewnie nawet głośno wypowiedziała swoją uwagę, lecz Stef w samą porę skierował jej myśli „wypadkiem“ w inną stronę.

Czy rzeczywiście „wypadkiem“ tylko? — tego jednak napewno twierdzić nie można.

— Moja Aneczko — zwrócił się nagle z prośbą do siostry — tak mi zapachniały truskawki. Daj mi trochę.

— Kiedy ani jednej niema w domu, a nawet nie wiem czy są jeszcze w ogrodzie. Krysia codzień je odwiedza.

— Nietylko Krysia — pomyślał sobie Stef, któremu też doskonale było wiadomo, że zapas truskawek przygotowany na cały dzień, zniknął przy obiedzie dzięki apetytowi obu siostrzyczek. Nie pokazując jednak tego, co myślał, ozwał się z miną smutną:

— Ach, jaka szkoda! Głowa mnie trochę boli, na kolację nic pewno jeść nie będę. Truskawki byłyby mnie orzeźwiły... Nie śmiem cię prosić, Anko, ale ty pewnie jeszcze znalazłabyś ich trochę...

Umiał Stef trafić w słabą stronę „panny drugoklasistki“... Ta prośba nieśmiała, ten ton pełen grzeczności, zjednały ją zupełnie.

Skwapliwie też odpowiedziała:

— Ależ pójdę, Stefku, bardzo chętnie.

— To możebyś i Krysię wzięła z sobą. Dobrze?

Coraz lepiej... Stef zwraca się do niej, zupełnie jak do osoby dorosłej.

Na to jednak Krysia zawołała oburzona:

— Anka wcale mnie brać nie potrzebuje. Pójdę sama, ale zjem wszystkie truskawki, które znajdę. Nic ci nie przyniosę... Gniewam się na ciebie.

I Krysia w oka mgnieniu smyrgnęła za drzwi.

— Nieznośny bęben — zdecydowała Anka, spoglądając porozumiewawczo na brata. — Muszę iść za nią.

— A naturalnie, naturalnie — przytwardził.

XVIII

Stef, jak to łatwo odgadnąć było można, umyślnie wyprawił obiedwie siostry z domu, przyszło mu bowiem na myśl, żeby srebrne, stołowe nakrycia ciotki Izy schować do skrytki. Zawsze bezpieczniejsze tam będą, niż w szafie. Miejsca w różnych kątach jest dosyć.

— Może też Bóg da, że nic się nie stanie — szepnął — może są to z mej strony „strachy na Lachy“, jak mówi przysłowie, ale nic nie szkodzi, że srebra schowam. „Strzeżonego Pan Bóg strzeże“. Ale dziewczynkom najlepiej nie wspominać nawet o tem. Dlaczego je trwożyć przed czasem? Ojciec pewnie już odebrał telegram i ktoś pierwszym ranym pociągiem przyjedzie do nas. To niewątpliwe. Teraz ja powinienem wszystko zrobić, co tylko jest w mojej mocy, dla bezpieczeństwa naszego i całego domu.

Tak też i zrobił.

Podczas nieobecności siostrzyczek, która dość długo trwała, Stef miał czas obejrzeć dom i ogród

wokoło, sprawdzić czy okiennice w niezamieszka-nych pokojach frontowych są dobrze przyśrubowane, czy zamek i sztaby w głównych drzwiach nienaruszone, czy w parkanie niema jakiego wylotu...

Wszystko było w porządku, wszystko jak być powinno.

A jednak niepokój nurtujący chłopca, mimo tych pozorów bezpieczeństwa, nie zmniejszył się wcale. Stef wciąż zadawał sobie pytania, na które brakło mu odpowiedzi.

— Jak powinienem postąpić? Czy nie lepiej zabrać siostry, pójść do najbliższej chaty i prosić o gościnę na tę noc jedną. Ale czy mają prawo opuszczać dom ciotki, bądź co bądź zostawiony na ich opiece? A przytem jeżeli jego obawy przed złodziejami nie sprawdzą się, co daj Boże, to wszyscy śmiać się będą z jego tchórzostwa, nie zrozumieją, że jemu głównie o siostrzyczki chodziło. Co zrobić zatem. Co zrobić?

Nieszczęśliwy chłopiec wahał się wciąż... a tymczasem godziny płynęły... dzień miał się ku końcowi.

Siostrzyczki wróciły nareszcie z ogrodu z talerzem pełnym truskawek i paluszkami ufarbowanymi na różowo.

— Trudno było szukać — rzekła Krysia, której buzia nosiła także ślady owego szukania.

— Widać, widać to na tobie — zaśmiał się Stef. — Ale siadajmy do podwieczorku... Głodny jestem jak wilk.

— To głowa cię już nie boli — spytała Anka troskliwie.

— Jeszcze trochę, lecz przechodzi.

Podwieczorek odbył się bardzo wesoło, Krysia szczebiotała, figlowała, śmiech jej dźwięczał ciągle niby srebrny dzwoneczek. Anka też wciąż rozpromieniona swoim „odkryciem“, była jak miód słodka i nie obrażała się co chwila według swego zwyczaju.

A Stef?

Stef silił się na wesołość. Dowcipkował, przekomarzał się z Krysią, parę razy nawet powiedział jakiś żarcik w stronę Anki, na co ona odpowiadała „anielskim“ uśmiechem, jednym słowem czynił co mógł, ażeby humor małej gromadki jak najdłużej pozostał „złotym“.

Po skończonym podwieczorku nastąpiły, zwykle zajęcia: mycie naczyń, porządkowanie, dodatkowe półgodziny francuskiego z Anką, dla wyrównania jakiejś zapomnianej lekcji, gonitwy wokoło domu...

Godziny mijały, wieczór zbliżał się, a z jego zbliżaniem niewytłumaczony lęk w duszy chłopca zwiększał się coraz bardziej.

— Nie — myślał — stanowczo nie położę się wcale tej nocy, a i one niech siedzą jak najdłużej. Przez szpary okiennic widać światło; to oddali może

napastników, bo będą wiedzieli, że ktoś czuwa... Tak, ten mój pomysł z loteryjką jest dobry.

I zwrócił się do siostrzyczek:

— Wiecie co? — rzekł — Dla uczczenia dzisiejszego dnia posiedzimy sobie trochę dłużej niż zwykle...

— Zgoda! Zgoda! — zawołały dziewczynki.

— I zagramy w loteryjkę! — dokończył Stef.

Było to tak niesłychane, żeby poważny Stef proponował zabawę, do tego w loteryjkę, której nie cierpiał, a siostrzyczki za nią „przepadały“, że obie dwie naraz wykrzyknęły zdumione:

— Ty, Stef, chcesz grać w loteryjkę? Ty? To coś zupełnie nowego.

— A tak, ja sam dziwię się. Przyszła mi jednak ochota. Dzisiejsze „odkrycie“ wprowadziło mnie w taki doskonały humor.

Postanowienie gry w loteryjkę zapadło jednogłośnie, przyniesiono pudełko, Anka ofiarowała się „ciągnąć numery“. Wtem Krysia zawołała żałośnie:

— Ale w co będziemy grali, kiedy niema ani orzechów, ani migdałów?

Wtedy Stef oznajmił tryumfująco:

— Właśnie że są migdały i do tego osmażane w cukrze!

To mówiąc, wyciągnął z kieszeni kurtki małą paczkę i położył na stole.

Wrażenie było nadzwyczajne.

— Stefku! Ty chyba przeczuwałeś, że dzisiaj nastąpi to „odkrycie Anki”? — spytała Krysia.

— Dwa „odkrycia“, bo przecież i Stef odkrył kryjówkę, i on nie jest bez zasługi — wspaniało-myślnie poprawiła Anka siostrzyczkę.

I dodała, dziwiąc się w duchu sama własnej sprawiedliwości:

— Bo „odkrycie“ Stefa było pierwsze... Wprawdzie nie tak ważne jak moje... ale zawsze...

— Nie tak ważne? — powtórzyła Krysia wątpiąco. — A mnie zdaje się inaczej.

I pokręciła główką.

Anka zaczerwieniła się lekko. Spojrzała ostro na siostrzyczkę... pohamowała się jednak... tylko zwróciła się do brata:

— Stefku, powiedz sam, powiedz szczerze, które „odkrycie“ ważniejsze, twoje czy moje?

Chłopiec roześmiał się.

— Wszystko jedno które. Przecież tobie wcale o taką drobnostkę nie chodzi. Zaczynamy lepiej grać w loteryjkę. Ja rozdaję karty.

Loteryjka zajęła bardzo dziewczynki. Nic dziwnego przecież, migdały osmażone, to przysmak nie bylejaki. I tak jakoś składało się, że Stef raz tylko wygrał, a migdały zawsze dostawały się Ance lub Krysi.

Złota kula słoneczna obniżała się coraz bardziej, płomienne światło oblewało ganek i twarzyczki dzieci, siedzących pod sklepieniem z zielonych liści.

— Jak teraz ślicznie! — zawołała Anka. — Pójdźmy przejść się trochę.

— Nie, nie — zaprzeczyła Krysia. Skończymy pierwszej loteryjkę... Już i tak tylko kilka migdałów zostało. Ach, Stefku, dlaczego tak niewiele kupiłeś? Bylibyśmy mogli grać cały wieczór...

Prawda... Stef zapomniał, że migdały nie tylko wygrywa się, ale i zjada natychmiast po wygraniu, i że jego siostrzyczki właśnie ten zwyczaj mają.

Ale czyż on mógł dzisiaj o czym pamiętać?

Teraz siedział z siostrzyczkami na ganku, uśmiechał się, żartował, panował nad sobą doskonale, ale w duszy jego i głowie był straszliwy zamęt, przeczucie grożącego niebezpieczeństwa, świadomość, że bronić się przed nim trzeba... Ale jak? Jak?

Nie, tego stanu dłużej już wytrzymać niepodobna. Trzeba koniecznie coś postanowić.

Zamyślił się.

Tak, to będzie najlepsze. To wreszcie jedno tylko do zrobienia zostało... Pojedzie na rowerze do najbliższej chaty, tam kował mieszka, opowie swoje obawy, poprosi niech kto przyjdzie z niemi dzisiajszą noc spędzić.

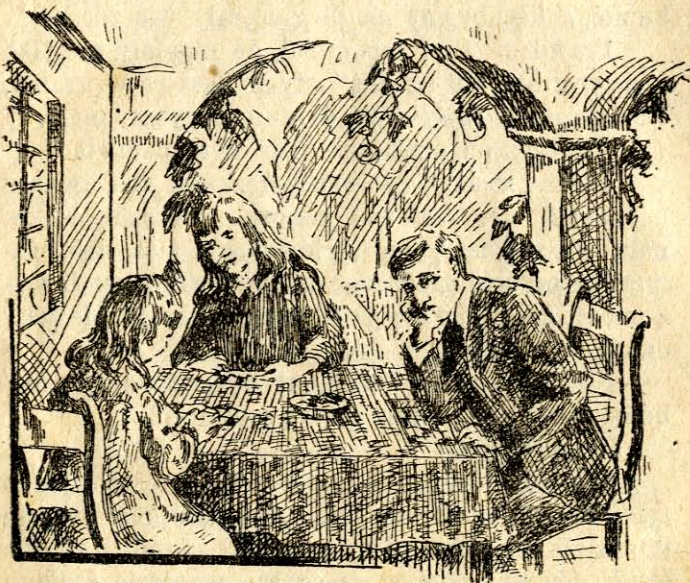
Tak, on to robi. Niech się tam z niego śmieją, niech go nawet nazwą tchórzem, — na tę myśl wstrząsnął się — on w sumieniu swoim jest spokojny. jemu nie wolno narażać dla swej ambicji siostrzyczek i całego domu ciotki.

Tajemnica starego dworu

Czwarta Publiczna 7-mio-klasowa
Szkoła Powszechna w Gnieźnie
Nr. dz.

Trzeba to zrobić natychmiast, bez straty czasu. Tylko jak upozorować odjazd przed siostrami?

— Stefku, nad czym tak zamyśliłeś się? Już dwa razy wywołuję „piętnaście“. Ty masz ten



numer i nie przykrywasz go. Nie słyszysz mnie, czy co? — rzekła Anka, trącając brata.

A Krysia dodała:

— Zaraz wygrasz. O, patrz! w trzech liniach brakuje ci tylko po jednym numerze.

Lecz Stef, nie czekając wygranej, zerwał się od stołu. Znalazł pozór wyjazdu.

— Wiecie nad czym myślałem? Oto wskoczę na rower, pojedę do sklepiku we wsi, nie do miasteczka, byłoby to zadaleko, i przywiozę migdałów. Będziemy cały wieczór grali.

— To w sklepiku są osmażane migdały? — z niedowierzaniem spytała Krysia.

— „Osmażanych“ pewno niema, ale zwykle nieosmażane są z pewnością. I rodzynki także i „landrynki“ widziałem w słoju.

— A „iryski“ są? — cichutko szepnęła Krysia.

— Iryski też widziałem.

— To przywieź irysków, tylko dużo... Chociaż — dodała po namyśle — migdałów i rodzynek także sporo.

— Ach, ty mały łakomczuchu! No dobrze, dobrze, co będę mógł, przywiozę. Tylko w tej chwili jechać muszę. Tam i napowrót zabierze mi dobrą godzinę czasu, a ja chcę koniecznie wrócić, zanim wieczór zapadnie.

— Wrócisz, rzekła Anka, spoglądając na niego. — Słońce dopiero zachodzi.

— A nie będziecie bały się zostać same?

— Co znowu? — roześmiała się. Albo to raz zostawałyśmy? Czego zresztą miałybyśmy się obawiać?

— Proszę cię jeszcze, Aniu o jedno. Gdybym wypadkiem spóźnił się, to jak tylko zmierzch za-

padnie, zamknijcie się w domu i zaśrubujcie okien-
nice w kuchni.

— Naturalnie. Przecież tak zawsze robiliśmy.

— I furtkę za mną zamknijcie.

— To się rozumie. Ach, Stefku, takie dajesz
mi polecenia, jakbym własnego rozumu nie miała.
A przecież niedawno dałam chyba dowód, że...

I Anka przez „skromność“ umilkła.

Nie wypadało przecież chwalić się samej i cią-
gle przypominać o „odkryciu“.

— Wiem, wiem — pospieszył brat z odpowie-
dzią. — Tylko ja tak sobie, z przyzwyczajenia mó-
wię. Daruj mi... No, dowidzenia, siostrzyczki.

Ujął rower stojący pod ścianą i już miał wsia-
dać, gdy zatrzymał się:

— Anko — rzekł z prośbą w głosie — jeszcze
jedno, zrób to dla mnie, siostrzyczko, nie otwieraj
nikomu, choćby dzwonił, ja skoro wrócę, zagwiżdżę
albo zaśpiewam. Przrzecz mi, proszę cię.

— I owszem, mogę ci przrzec. Ale nie my-
ślałam, Stefku, żebyś ty był tak dziecinny. Je-
dziesz na godzinę, wieczór daleko jeszcze, ludzie
dopiero co zaczynają wracać od roboty — a ten ta-
kie nam polecenia daje, jakby Bóg wie co stać się
miało. To lepiej nie jedź po te migdały. Obej-
dziemy się bez nich.

— Nie, nie, lepiej niech jedzie — zawołała Kry-
sia — i po „iryski“ także, i po wszystko.

Stef pocałował Ankę.

— Masz rację, Aniu, przepraszam cię. Sam
nie wiem co plotę. Bardzo rozumnie to wszystko
powiedziałaś. To ja jestem taki dzisiaj twojem
„odkryciem“ rozgorączkowany... No, ale zrobisz
o co cię prosiłem.

— Naturalnie że zrobię. Czyż ja kiedykolwiek
tobie co odmówiłam?

— Więc dowidzenia, siostrzyczki.

Stef dopilnował jeszcze, by zaryglowano za nim
furtkę wchodową i założono łańcuch, a potem jak
strzała, ile mu tylko siły pozwalały, popędził w stro-
nę wioski.

XIX

Dziewczynki zostały same. Na stole na ganczku leżały karty loteryjki i stała miseczka z garstką osmażanych migdałów.

— Czy zaczekamy na Stefka, czy będziemy same grały dalej? — spytała Krysia.

— Naturalnie, że będziemy grały. Stefek nowy zapas przywiezie.

— Ach, jaki on dobry! Prawda, Aniu?

— Rzeczywiście, bardzo dobry. Tylko dziś taki dziwny... Choć zresztą... Sama słyszałaś przecież, co mówił, że „moje odkrycie“ zawróciło mu w głowie.

— Dopiero to tatuś i mamusia ucieszą się. Jak myślisz, Aniu, co tam jest w tej skrzynce?

— Pewnie coś bardzo kosztownego, bo inaczej nie byłby jej dziadek schował tak dobrze.

— Ach, żeby mamusia już jak najprędzej przyjechała!

— A czy to ci źle z nami, Krysiu?

— Bardzo dobrze, tylko raz, że mnie już do mamusi tęskno, a drugie, że jak mamusia przyjedzie, to dowiemy się, co jest w tej skrzynce. Tylko jak ją otworzy się, kiedy klucza nie ma?

— Już ty sobie tem głowy nie zaprzątaj. Mamusia znajdzie sposób.

Przy gawędce, przy grze w loteryjkę i chrupaniu osmażonych migdałów czas płynął szybko, i dziewczynki nie zauważyły nawet, kiedy zmierzch zapadł.

Anka, wierna danemu przyrzeczeniu, natychmiast zabrała się do śrubowania okiennic, potem zapaliła lampę i zamknęła drzwi od kuchni na rygle i zamki.

— No, teraz jesteśmy w istnej twierdzy — rzekła. — Stef lada chwila wróci, myślę zrobić mu niespodziankę... On nam — my jemu.

— Jaka? jaką? — skwapliwie zapytała Krysia.

— Ugotuję kakao. W spiżarni jest całe pudełko proszku — cukier i jajka mamy.

— Ale czy tylko potrafisz, Anko?

— O jej, wielka mi rzecz! Nie raz, nie dziesięć widziałam, jak mamusia nam gotowała. Nawet pomagałam jej czasami. Naprawdę umiem ugotować. Zresztą zobaczysz.

— A dlaczego do tej pory nie ugotowałaś nam ani razu?

— Dla bardzo prostej przyczyny. Dopiero dzisiaj

„odkryłam“ w spiżarni pudełko kakao. Taki jakiś dzień szczęśliwy.

— A to prawda, że szczęśliwy. — I Krysia zaczęła wyliczać na palcach: — Dwa odkrycia, migdałki osmażane, loteryjka, teraz znowu będą „iryski“, rodzynki... Ojej, co tego, co tego! Dzisiejszy dzień bardzo jest szczęśliwy.

Ale szczęście jest zmienne — i nie zawsze koniec bywa taki sam jak początek. O tem dziewczynki miały przekonać się wkrótce.

Teraz zajęły się obiedwie przygotowaniem wieczery. Krysia bardzo starannie stół nakryła, umiała to robić doskonale, Anka zaś zapaliła maszynkę i mleko postawiła na ogniu.

Potem zwróciła się do Krysi:

— Czy chcesz mi pomagać w gotowaniu?

Dziewczynka nie wierzyła własnym uszom. Co! Co! Anka, surowa Anka, sama zaprasza ją do pomocy w gotowaniu! Tego jeszcze nigdy nie było!...

Więc też skoczyła siostrze na szyję.

— Ach, Aniu, jaka ty jesteś „najlepsza“! Chcę, chcę, zawsze chcę, ile razy mi pozwolisz. Powiedz, co mam robić?

— Będiesz mieszała kakao w garnuszku i po trochu dolewała mleka. Czy rozumiesz mnie?

— Rozumiem, Aniu złota! Wymieszam doskonale wszystko, ani jednej grudki nie zostawię.

— A ja tymczasem ubiję pianę z białek.

— A to na co?

— Mamusia ubita pianę kładła łyżką w mleko, i piana ugotowała się.

Tak, tak, pamiętam, Aniu. To bardzo smaczne.

I Krysia oblizwała usteczka, dodając z powątpiewaniem:

— Tylko czy ty potrafisz to zrobić?

— Zobaczysz — z miną pewną siebie odrzekła Anka, zabierając się do roboty.

Między zamiarem a wykonaniem jest jednak wielka różnica, przekonały się o tem siostrzyczki. Piana „za nic“ nie chciała się ubić. Bito ją, trzepano, przelewano z talerza na miskę, z miski do garnka, a ona nic i nic; zbieleła trochę, ale nie zgęstniała.

Dziewczynkom to niepowodzenie humoru nie popsło wcale, bo za to kakao rozpuściło się w mleku doskonale, a żółtka z cukrem ubite na salaterce, czekały chwili, kiedy zmieszane z gorącym kakao zostaną. Wszystko było gotowe, tylko ten, na którego czekała owa „kakaowa niespodzianka“, nie wracał, choć już niejedna godzina, ale dwie zgórą od chwili jego wyjazdu minęły.

Zajęte przygotowaniami dziewczynki nie zauważyły tego. Stary, kuchenny zegar wydzwaniał godzinę po godzinie, one przecież w gwarze rozmowy i śmiechów nie słyszały go wcale.

I dopiero gasnąca maszynka, do której trzeba było dolać nafty, przypomniała im o czasie. Anka spojrzała na zegar.

— A to co? Blisko w pół do dziesiątej! To być nie może! Zegar popsuł się.

— Ej nie — wtrąciła Krysia. — Mnie się chce już jeść. Musi być późno.

— Prawda. Pora wieczery minęła. Ale co to jest, że Stef nie wraca?

— Ja domyślam się, Anko. Nie znalazł migdałów w sklepiu wiejskim, ani irysków, ani niczego i popędził na rowerze do miasteczka.

— Kto wie? Choć i w miasteczku o tej porze sklepy zamknięte. Ale prawda, kiedy przyjechał były jeszcze otwarte, teraz już wraca — uspokajała sama siebie Anka.

— Czy będziemy czekały na niego z wieczorą? — spytała Krysia, której naprawdę bardzo jeść się chciało.

— Jeszcze troszkę... Dobrze?

„Troszkę“ przeciągnęło się do samej dziesiątej.

Wówczas Anka zdecydowała, że już jest bardzo późno i że dłużej czekać nie można.

Ukończono więc gotowanie kakao i spożyto je z wielkim apetytem.

Porcja Stefa została bardzo starannie schowana do szafy.

— Nic nie szkodzi, że wystygnie. Stef woli zimne kakao — powiedziała Anka — myśląc jednocześnie, że ponieważ Stef pojechał do miasteczka, — tego już była pewną — to przed jedenastą nie wróci. Noc ciemna, księżyc ani widać, musi jechać wolniej. Ona tymczasem położyć się nie może, musi czekać na niego. Bo jakżeby dostał się do domu...

Wszystko to razem wzięwszy, zaczynało jej się niepodobać i... niepokoić trochę.

— Już ten Stef miewa czasami niezbyt mądre pomysły — powiedziała do Krysi. „Strzeliło“ mu coś do głowy, żeby jechać do miasteczka po migdały. Mógł przecież wyliczyć sobie, że i tak skoro je przywiezie, to na grę w loteryjkę będzie za późno.

— Naprawdę zapóźno? — z niedowierzaniem spytała Krysia, której jakoś spać się dzisiaj nie chciało.

— Spodziewam się. — I Anka spojrzała na zegar.

— Jakto, już po wpół do jedenastej? A ty jeszcze nie śpisz? Zaraz proszę mi rozbierać się, moja panno, i marsz do łóżka.

— I ty także?

— Ja nie położę się. Będę czekała na Stefa. Zresztą on lada minuta przyjedzie. Prędko rozbieraj się, Krysiu.

Lecz Krysia ani słuchać o rozbieraniu nie chciała, wołając piskliwym głosem:

— Ja też zaczekam na Stefka! Ja też zaczekam!

— W tej chwili spać — znowu zakomenderowała Anka.

— A właśnie że nie! A właśnie że nie!

I panna Krysia „myk“ pod stół, z pod stołu na krzesło, z krzesła na ławkę, a stamtąd znowu na stół, czy na podłogę.

Zaczęła się gonitwa, w której wziął także udział i mały kotek, ulubieniec obu dziewczynek.

Anka, ciągle w doskonałym humorze, nie rozniewała się na nieposłuszną siostrzyczkę, tylko zaczęła ją gonić, skacząc również po krzesłach i stole. Kuchenka rozbrzmiewała wybuchami śmiechu i wesołymi okrzykami, a Krysia, wymykając się jak wiewiórka, wołała:

— Otóż nie złapiesz mnie! Nie złapiesz!

— To się zaraz pokaże. Wstyd byłby, żebym takiego szczura nie schwytała.

A właśnie że nie schwytasz!

— Krysiu, dość już! Proszę cię. Ja już nie mogę.

Ale prośba była jeszcze większą zachętą do skoków dla rozbawionej dziewczynki, gdy naraz zaszło coś takiego, co ją uspokoiło natychmiast.

W chwili gdy Krysia, śmiejąc się głośno,

zamierzała wskoczyć ze stołu na krzesło, silny odgłos dzwonka u furtki wchodowej dobiegł wyrażnie uszu dziewczynek. Stały jak wryte. Cisza nagle zapanowała w kuchence... Krótka przerwa i znowu powtórne, jeszcze silniejsze dzwonięcie.

— Anko! Słyszysz? To Stef pewnie dzwoni.

— Nie. Stef miał zagwizdać lub śpiewać. To ktoś inny.

Dzeń, dzeń, dzeń! Dzeń!

Krysia zeskoczyła ze stołu i przytuliła się do siostry.

— Boję się, Anko! Boję się!

Dzwonek tymczasem bez przerwy trząsał się i szamotał. Wreszcie przyłączyło się do niego silne kołatanie klamką.

Anka stała nieruchomo. Ona biedaczka zaczęła domyślać się, co znaczyło to śmiałe dzwonięcie.

— Może to depesza od rodziców? — cichuteńko szepnęła Krysia.

— Depesza od rodziców! Ach tak! Ach tak! — z ulgą w głosie odrzekła Anka, przyjmując to objaśnienie.

I już po trwodze. Już ją nie gniece ten straszny ciężar, jaki spadł nagle na jej serce i głowę. Naturalnie, że to nic innego, tylko depesza od tatusia, którą zapowiada swe przybycie.

— Trzeba pójść otworzyć. Zostań tu, Krysiu

Ale siostrzyczka schwyciła ją za rękę.

— Nie, nie... Boję się. Nie zostanę sama.

Dzeń, dzeń, dzeń! — rozlegało się wciąż w cizy nocnej.

— Weź mnie! Weź mnie! Weź, Anko! Boję się zostać tutaj! — powtarzała Kryśia płacząco.

Dzeń! dzeń!

Dzieci pędem, trzymając się za ręce, pobiegły do furtki.

Na odgłos zbliżających się kroków łomotanie ucichło.

— Kto tam? — spytała jak mogła najgrubszym głosem Anka.

— Woźny z telegrafu. Depeszę przyniosłem, — brzmiała odpowiedź. — Otwórzcie!

— Zaraz, zaraz otworzę. Proszę minutkę poczekać.

Szczękneły odsuwane rygle, zazgrzytał klucz w zamku. Gruby łańcuch jednak pozostał nieodczepiony.

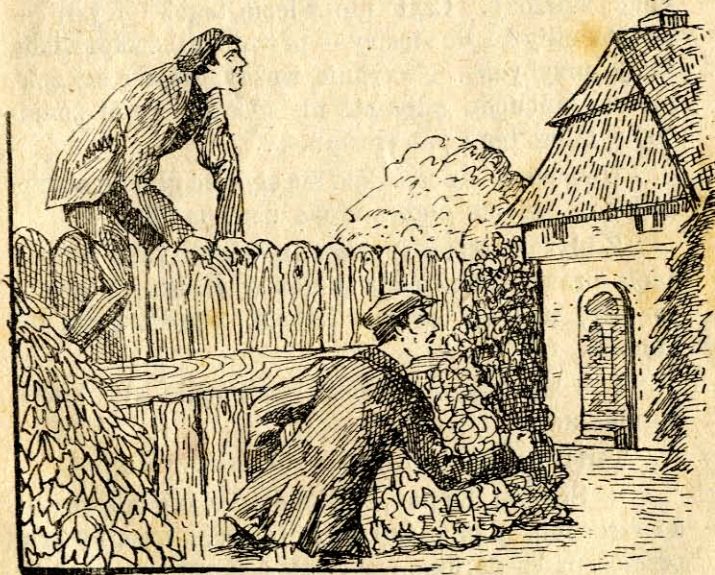
— Proszę o depeszę — rzekła teraz Anka, uchyliwszy drzwi o tyle tylko, o ile łańcuch pozwalał.

Ale zamiast depeszy zabrzmiała odpowiedź grubańska:

— Cóż to będę jak pies wystawać za furtką, dopóki kwitu nie podpiszecie. Otworzyć drzwi, to oddam depeszę.

I jednocześnie z temi słowy wielka, męska stopa wsunęła się między drzwi uchylone...

Teraz Anka nie mogła już wątpić dłużej. Zrozumiała wszystko. To nie był woźny z telegrafu, ale napastnik, jeden lub dwu, a nawet więcej może...



Przestach i groza położenia nie odebrały jednak dziewczynce przytomności.

Położyła palec na ustach, nakazując tym sposobem siostrzyczce milczenie i odparła, siłąc się by opanować drżenie głosu:

— Ach, tak. Widzę, że boicie się o napiwek. I owszem, otworzę drzwi, jeżeli wam o to chodzi, tylko proszę wysunąć nogę.

— Ani myślę. Dlaczego mam wysuwać?

— Bo żeby zdjąć łańcuch, muszę drzwi zamknąć wprzód. Czyż nie wiecie tego? Krysiu — dodała niby to do siostry — pewnie tatuś zapowiada swoje przybycie... No, panie woźny, proszę ustąpić, inaczej łańcucha odczepić nie można. Swój „napiwek“ i bez tego pan dostanie...

Uwierzono Ance... dało się słyszeć głuchoe mruknięcie... i wielka ciężka stopa usunęła się...

Z błyskawiczną szybkością dziewczynka zatrzasnęła drzwi, przekręciła klucz w zamku, poczem, co siły, unosząc prawie Krysię, wpadła z nią do kuchni.

I tu zaryglowanie drzwi dokonało się w oka mgnieniu.

Teraz Anka zwróciła się do siostrzyczki:

— Słuchaj, Krysiu, trzeba działać prędko, chwili do stracenia niema. Oni, ci źli ludzie, muszą wpierv przejść przez parkan... wyważyć drzwi od kuchni. My tymczasem ukryjemy się.

— Ale gdzie? Gdzie? — zęby Krysi szczykały.

Chwila namysłu... i nagły błysk radości w zrozpaczonych oczach Anki, błysk uśmiechu na ustach.

— Ukryjmy się w schowanku za lamperją! Tam nikt nas szukać nie będzie!

Cichuteńko, zamykając drzwi za sobą, wbiegły do jadalnego pokoju.

Czas był już wielki, bo napastnicy, przedostawszy się przez parkan, rzucili się ku drzwiom i oknom.

XX

Parę minut upłynęło zaledwie od chwili gdy dziewczynki zamknęły się w kryjówce, a im zdało się że wieki całe. Przytulone jedna do drugiej, skurczone, oddech prawie wstrzymywały z trwogi, nad słuchując rozlegających się po domu kroków.

— Anko! Anko! — ledwo dosłyszalnym szeptem ozwała się Krysia. — Wchodzą już do pokoju cioci...

— A teraz pewnie plądrują po szafach i komodach...

— O! już są w pokoju Stefa...

— Teraz tu idą!

— O Boże! Boże!

— Cicho, Krysiu... Ani drgnij nawet... Mów w myśli pacierz... Ci...

Słabe światło latarki rozjaśniało pokój. Dziewczynki przez szpary między deskami widziały doskonale dwu mężczyzn ogromnego wzrostu. Każdy z nich wszedł do jadalni, obładowany różnemi rze-

czami, zabranami z innych pokojów. Rzucili rzeczy na stół i rozpoczęli poszukiwania.

Każdy kąt, stół, krzesło obejrzel, zaglądali za firanki...

— I tu ich niema — rzekł jeden, sapiąc głośno.

— Schowały się gdzieś gołąbki. Nie bój się, znajdziemy je. Pewnie czmychnęło to na górę i poci się tam ze strachu.

— Głuptasy. Nie zrobilibyśmy im przecie nic złego.

— No, żeby tak zupełnie nic, to nieprawda. Ja przynajmniej mam wielką ochotę przetrzepać porządnie skórę tej smarkatej, która na mnie tak „z góry“ na drodze spojrzała. Pamiętasz?

— A to sobie trzep. Czy ja ci bronie? Jeny od małego „bąka“ wara, palcem tknąć go nawet nie pozwolę. Dobrze to było, napiło „starą babcię“ mlekiem i „wyśpiewało“ wszystko.

— Ha, ha — zaśmiał się drugi. Mleko w sam raz napitek dla ciebie. To cię dopiero uczęstowała! Ha! ha!

Rozmawiał tak, otwierając wytrychami wszystkie zamki i wyciągając z kredensu, komody i szafy różne znalezione tam rzeczy.

Rzucono je beładnie na stół, a potem zaczęto pakować do olbrzymiego worka,

Dziewczynki oczu od złoczyńców nie odrywały. W myśli każdej z nich jedno tylko było teraz życzenie: „Żeby Stef w tej chwili nie wró-

cił“, w sercu jedna prośba do Boga, żeby Stefa obronił.

Zapomniały o sobie — myślały i troszczyły się tylko o brata.

— Boże! Boże! co stałoby się gdyby tak jego śpiew lub gwizdanie rozległo się w tej chwili przed domem?

Z pewnością trzeci wspólnik musi stać na straży, dostrzegłby go, schwycił i może zabił..! O Boże, zatrzymaj Stefka, nie pozwól mu teraz powrócić! Ochroń go!

Tak modliła się Anka nie słowami, lecz całą duszą swoją.

Wtem Krysia, której skurczone nogi drętwić zaczęły, poruszyła się lekko. Jakaś deska zatrzeszczała w kryjówce.

Złoczyńcy skoczyli.

— Styszałeś? — warknął jeden.

— A ino — obojętnie odparł drugi. — Mysz chrobocze pod podłogą... O, już ucichło...

— To nic, musimy przeszukać wszystkie kąty raz jeszcze.

Przyświecając sobie latarką, złoczyńcy zajrzeli pod każde krzesło, odsunęli szafkę kredens, odchyłali portjery... Oczywiście nic nie znaleźli.

A dzieciom. skurczonym w maleńkiej kryjówce, serca bić prawie przestały ze strachu, i pot kroplami wystąpił na czoło.

— No widzisz — rzekł jeden z napastników — nikogo niema.

— Tak, musiały to być myszy. Teraz spakujemy rzeczy, a potem marsz na górę do naszych gołąbków. Z chłopakiem już ja sam rozprawię się. Trzeba mu dać taką naukę, żeby ją popamiętał na całe życie.

Na te słowa drugi wybuchnął ordynarnym śmiechem.

— A tak, nie chciał porządných ludzi wpuścić do domu.

I dodał:

— Ale to udało mu się wyprowadzić cię w pole z tą nogą... ha, ha, ha! Sprytny ptaszek! Ścisnął ci nogę porządnie. Co? Już ja wiem, że ty mu odpłacisz należycie.

— Wiesz, zdaje mi się, że to chyba zrobiła dziewczucha, ta starsza; odezwano się przecie takim ciekim głosem.

— Aha, dziewczucha! Albo miałoby to tyle śmiałości! Nie, to z pewnością robota chłopaka. Już ty mu nie pożałuj ręki...

— Albo i czego innego jeszcze — ponuro mruknął zbój.

Poczem rzekł:

— Robota z chłopakiem na koniec, przedtem skoczę zobaczyć, czy niema tam w kuchni czego do zjedzenia, bo mi coś kiszki śpiewać zaczynają.

Poszedł i wrócił niedługo.

— Słuchaj — rzekł do towarzysza. Jadła tam niewiele — chleb i mleko. Znalazłem jednak coś lepszego. Z kuchni schodzi się wprost do piwnicy.

— Cóż z tego za pociecha?

— Wielka. Myślałem, że nasze pisklęta tam się skryły... schodzę, rozglądam się, piskląt niema, ale za to rzędem przy ścianie buteleczki. Łap, cap za jedną... próbuję... winko... Powiadam ci istne delicje.

— Tak? No to i ja muszę go spróbować... Trzeba nabrać sił do pracy...

Zatrzeszczała posadzka pod ciężkimi stopami. zaskrzypiały drzwi jedne, drugie... a potem nastąpiło milczenie... Widocznie złoczyńcy pokrzepiali swe siły w piwnicy.

Złowrogiej ciszy nic nie przerywało przez długą, o! dla dziewczynek długą jak rok chwilę.

Wtedy Ance, słyszającej doskonale każde słowo wymówione przez napastników, błysnęła myśl, którą ona sama później nazwała szaloną, ale którą na razie zapragnęła wykonać gwałtownie, nie zastanawiając się nad tem, czy się jej powiedzie.

— Krysiu — szepnęła do siostry, przyciskając guzik. — Teraz pora...

Drzwiczki od skrytki odskoczyły.

— Co chcesz zrobić? — szepnęło dziecko przeżone.

— Zobaczysz... Cicho.

Z błyskawiczną szybkością, bez żadnego szelestu, Anka wpadła do kuchni.

Jasno tam było. Na stole paliła się niezgaszona lampa... i oświecała otwór piwniczny w podłodze.

Anka schyliła się bez namysłu, ze zdumiewającą szybkością, ze zwiększoną przez podniecenie siłą, dźwignęła ciężkie drzwi piwniczne, opuściła je na dół i jednym zamachem przekreśliła klucz w zamku.

Złoczyńcy byli w pułapce...

— A teraz spieszmy na ratunek Stefa! — krzyknęła do bladej jak opłatek Krysi.

Zabrzęczał ciężki łańcuch przy furtce ogrodowej, zazgrzytał klucz w zamku, i dziewczynki bez tchu wypadły na drogę.

XXI

Pożegnawszy się z siostrami, Stef pędził ile mu sił starczyło.

— Przecież mi nie odmówią. Przecież mi pomogą — myślał. Byle prędzej tylko.

I oczyma gorejącemi z niepokoju mierzył przestrzeń dzielącą go od najbliższego domku.

Pokazało się dalej, niż przypuszczał. Trzeba było skrócić z szosy na drogę pełną kamieni i wybojów i z konieczności zwolnić biegu.

— O mój Boże, ja ledwo za godzinę tam dojadę, a zanim wrócę, będzie ciemno zupełnie... Co one tam robią same, moje biedne siostrzyczki?... A gdyby... gdyby podczas mej nieobecności?... Ale nie! — odpędzał od siebie myśl okropną. — Do nocy jeszcze daleko, a po dniu niema się czego lękać...

Uspokajał sam siebie, jednak serce biło mu jak młotem.

Zwolna, nieznacznie gasły na niebie smugi purpurowe i złote, zwolna, nieznacznie wpełzał na wszystko zmrok wieczorny. Stef nie widział tego. Oczyma duszy był przy swoich ukochanych siostrzyczkach. I bezwiednie, nie zdając sobie sprawy, przyspieszał bieg swego stalowego rumaka... Lecz rumakowi zagrażały na drodze różne niebezpieczeństwa, które ominąć należało.

Ot tam, duży głaz leży nad samym rowem, trzeba objechać go koniecznie.

Czy chłopiec przeszkody nie widzi? Pędzi naprzód pochylony z otwartymi ustami, z oczyma utkwionemi hen, daleko...

Tuman kurzu wzbija się za nim... on pędzi.

Drożyna pusta, żywego ducha nie widać...

Nikt też nie słyszał huku i jęku, jaki nagle wstrząsnął powietrzem, nikt nie zobaczył jak jeździec i rumak zwalili się razem w rów przydrożny.

Ciemno już było zupełnie, kiedy Stef otworzył oczy. Nad nim błyszczały gwiazdy, wokoło panowała cisza, nieprzerwana żadnym, najlżejszym bodaj odgłosem.

Chciał wstać, opierając się na łokciach, lecz zaraz z sykiem bólu opadł na wilgotną ziemię.

Leżąc tak zbierał rozpieczęte myśli i pomału przypominał sobie wszystko co zaszło... swój niepokój... wyjazd z domu... tę drożynę kamienistą... i wreszcie...

— Już wiem teraz, uderzyłem rowerem o kamień, spadłem i straciłem przytomność. Ale co się tam w domu dzieje? O Boże! Boże! Co się tam z memi siostrzyczkami stało?

Okrutna trwoga ścisnęła mu serce jak kleszczami. Trwoga i rozpacz... Bo oto on, jedyny ich obrońca, leży teraz bezwładny.

— Nie, nie... wszystko jedno, boli czy nie boli, wstać muszę...

Dźwignął się z trudnością, prostować począł ręce i nogi i poruszać niemi dla przekonania się, czy są całe...

Bogu niech będą dzięki! Włada niemi zupełnie. Obolały był, potłuczony, z sińcami na twarzy, z ogromnym guzem na głowie, ale pozatem zdrów zupełnie.

Trzeba wsiąść na rower i ruszać dalej.

Niestety, okazało się to niepodobieństwem. Jedno koło roweru było strzaskane.

— To samo i mnie mogło spotkać — pomyślał chłopiec. Ha, nie mogę jechać, pójdę pieszo.

I poszedł, a raczej zaciskając zęby z bólu, biegł do najbliższego domku.

Świeciło się tam jeszcze, więc otworzono mu zaraz. Ale nie zaraz zrozumiano, gdy rwącym się co chwila z wysiłku głosem opowiadał o swoim niepokoju i prosił, by kto z nim do domu pośpieszył.

Zaczęły się potem zwykle w tych razach pytania i perswazje.

— Może się panicz myli?

— Tu w naszych stronach nigdy o żadnych włóczęgach nie słyszano.

— Ej, to pewnie tylko takie sobie przywidzenie.

Dopiero, gdy Stef zniecierpliwiony i zrozpaczony zawołał:

— Nie wierzycie mi... to sam wracam... — usłuchali go, i najstarszy z mężczyzn będących w chacie, widząc gospodarza, rzekł:

— Co tam dwóch pomogłoby, nie daj Boże, nie-szczęściu?

Jak iść, to iść w gromadzie — ktoś wtrącił.

Więc poszło ich czterech, tylko gospodarz został w chacie.

Wzięli też sznury ze sobą i kije mocne.

— Przydadzą się, to dobrze, nie przydadzą — jeszcze lepiej — mówili.

Dla skrócenia drogi poszli „na przełaj“ przez łąkę. Stef na swych obolałych po upadku nogach ledwie mógł im nadążyć, tak przyspieszali kroku.

— A toć tam dziecińy pomrą ze strachu, same jedne w takim wielkim domu.

— Ja tę malutką panienkę znam trochę, śpiewa niby szczygiełek w ogrodzie.

— Biedaczki! Same jedne!

Tak między sobą mówili, choć Stef nie pod-

trzymał rozmowy. Serce zamierało mu w piersiach z trwogi o siostry.

— Co się tam dzieje? Co się tam dzieje? — powtarzał sobie jedno zajmujące go w tej chwili pytanie.

Działo się to, czego nikt nie mógł oczekiwać, czego Stef nigdyby się nie domyślił.

Zamknięci w piwnicy zbóje, z początku wszelkimi siłami próbowali drzwi wysadzić, ale im to się nie powiodło.

Nie mieli też z sobą żadnych potrzebnych do wylamywania zamków i wysadzania drzwi narzędzi — wszystko zostawili na górze...

Odchodzili więc prawie od zmysłów ze złości, i jeden na drugiego zwał winę.

— To przez ciebie, to twoja sprawka, pijaku obrzydliwy.

— Ja pijak, a ty niby nie! Kto ci zresztą kazał chodzić ze mną do piwnicy?

— Ach te bębny!... Złapano nas niby szczury w pułapkę!

— Już ja im dam za swoje! Niechno kiedy wpadną w moje ręce!

— A tymczasem ty odemnie dostaniesz. Kto mnie na tę wyprawę namówił? Kto zapewniał, że wszystko pójdzie jak po maśle? Ty! Zawsze ty!

— Zostaw mnie w spokoju, bo będzie źle!

Od słów i przymówek doszło do kłótni, od kłótni do bijatyki.

Dwóch towarzyszy i przyjaciół na dwóch wrogów się zamieniło.

Gdy w piwnicy starego domu wre bójka, Stef i wieśniacy pędzą w ciemnościach nocy na ratunek.

Już skęcili na szosę, już zbliżają się do ogrodu, gdy w tem cichy płacz czy jęk dobiegł uszu Stefa.

Coś szarpnęło go za serce... Zdawało mu się, że rozpoznał głos Krysi...

Wyteżył wzrok... ale nic... nic nie dostrzegł.

Więc zawołał cichutko:

— Krysiu! Siostrzyczko kochana!

Wtedy z pod krzaków leszczyny gęsto rosnących w pobliżu dobiegł okrzyk!

— Stef! Stef! Nareszcie!

Przytulone jedna do drugiej, dziewczynki siedziały na ziemi. Wpełzły tam pod opuszczone gałęzie i płakały.

— Czekaliśmy na ciebie... żeby cię ostrzec, braciszku. W domu są zbóje...

— Co? Co ty mówisz? Anko! Powiedz.

Wtedy Anka opowiedziała wszystko, co zaśzło. Teraz, po tym czynie prawdziwej odwagi i energii, osłabła nagle.

— Wcisnęłyśmy się pod gałęzie, żeby czekać na ciebie — rzekła Krysia.

— I żeby pilnować domu. Stąd widać drzwi doskonale. Już się nasze oczy przyzwyczaiły do ciemności. Ale nikt nie wszedł, ani nie wyszedł.

Wiem dobrze. Ci źli ludzie napewno są jeszcze w piwnicy. Ach. Stefie! Jaka to była straszna chwila, kiedy oni weszli do domu!

— Ale już minęła, już minęła, moja odważna siostrzyczko. Dumny jestem z ciebie...

— Naprawdę Stefie?

— Tak... tak, moje biedactwo drogie.

Jeden z wieśniaków niósł Krysię, drugi osłabłą Ankę, bo Stef ledwo sam trzymał się na nogach.

I tak doszli do domu.

Siły opuściły chłopca, ale przytomność umysłu i energia zostały.

Zaraz zarządził wszystkim.

Zaciągnięto na drzwi od piwnicy ciężką szafę, ażeby złoczyńcy nie mogli podważyć drzwi od spodu, co zresztą było niepodobieństwem; przy maleńkiem okienku piwnicznym, przez nadmiar ostrożności postawili straż, poczem jeden z wieśniaków udał się czemprowadzić do miasta po policję, a trzech pozostało w domu z dziećmi.

— Połóżcie się. Już teraz nic nam nie grozi — prosił Stef siostrzyczki.

Lecz Anka ani słyszeć chciała o spoczynku.

— Nie, Stefku, oka nie mogłabym zmrużyć, dopóki ci okropni ludzie są pod naszym dachem. Położę Krysię na kanapce w twoim pokoju i sama przy niej usiądę. Przecież ta noc kiedyś się skończy!

Ani spodziewała się Anka jaki będzie koniec tej przygody strasznej.

Świt już zaczynał bielić niebo, kiedy dopiero pomoc z miasteczka nadeszła.

Cichy dom napelnił się gwarem i hałasem, Anka zasłoniła uszy rękoma, by nie słyszeć tych wrzasków, krzyków i wymyślań.

Otworzono drzwi do piwnicy i wyciągnięto stamtąd obu złoczyńców.

Później policjanci założyli im kajdanki na ręce i prowadzili ze sobą.

Wszyscy rozeszli się... W domu z dziećmi pozostał tylko najstarszy z przybyłych na ratunek wieśniaków.

XXII

— Nie odchodźcie jeszcze, panie gospodarzu — rzekł Stef, gdy już usunięto wszelkie ślady nieporządku — i zjedzcie z nami śniadanie. Zaraz zagotuję wody na herbatę.

— Ano dobrze, zostanę. Choć już słońce wschodzi, ale zawsze raźniej wam ze mną.

Nie domyślał się Stef, zapalając maszynkę, która z niemi razem herbatę pić będzie.

Siedzą wszyscy w pokoju Stefa, gawędzą o tem co zaszło, dziewczynki, a raczej Anka, opowiada z najdrobniejszymi szczegółami każdą chwilę przeżyta tam w kryjówce... czekają na herbatę...

Na dworze tymczasem zaczyna się ruch poranny... Słychać, jak pędzą bydło na paszę, czasem jakiś pies zaszczeka, czasem jakiś wóz zaturkocze.

Głośniejszy turkot rozlega się w pobliżu domu i milknie, a potem słychać gwałtowne szarpnięcie dzwonka u furtki.

Stef biegnie ku drzwiom, Anka do okna.

A toż co? Słychać wykrzykniki.

— Ojcze! Tatusiu!

Mija minuta i oto ukochane ręce obejmują Ankę, ukochany głos mówi na pozór spokojnie:

— Dzień, dobry, córeczko! Nie spodziewałaś się mnie. Prawda?

A później w drugim pokoju tak ojciec tłumaczy swój przyjazd synowi:

— Domyślałem się, że wysłałeś depezę w tajemnicy przed Anką. Otrzymałem ją w nocy i w godzinę później zabrałem się na pociąg towarowy... W miasteczku powiedzieli mi już wszystko. Gdzie Krysia? Czy zdrowa? Telegram do matki wysłałem. No, chodźmy teraz pić herbatę... Złe już minęło, trzeba o niem zapomnieć.

Okrzyki radości, głośnie rozmowa przebudziły Krysię — nie wierzyła swemu szczęściu, że widzi tatusia.

Posypały się gradem pytania, krzyżowały odpowiedzi. Wszyscy odpowiadali naraz, nawet milczący zwykle Stef był wymowny.

Dopiero tatuś położył koniec gawędzie.

— O tem wszystkim potem, a teraz do łóżka — postanowił. — Jesteśmy pomęczeni bardzo. Ja również położę się. Trzeba przespać się choć trochę.

„Przespanie się“ trwało jednak dość długo, bo do czwartej po południu. Komenda tatusia rozbudziła gromadkę.

— Wstawać, śpiochy! Obiad na stole!

— Ciekawa jestem, jaki to obiad? — pomyślała Krysia ubierając się.

Był nawet bardzo dobry. W kuchni uwijała się kobiecina, którą tatuś niewiadomo gdzie i kiedy wynalazł, w jadalni stół był nakryty.

Po obiedzie gromadka bardzo dokładnie opowiedziała tatusiowi wszystkie swoje przygody. Nie pominięto żadnego szczegółu; więc Stef wtedy dopiero dowiedział się o spotkaniu z włóczęgami na polu, a dziewczynki o dostrzeżonych przez brata odciskach męskich stóp w ogrodzie.

Zdziwienie było obustronne. Zaczęły się nawet lekkie przymówki, które tatuś przerwał propozycją:

— Obejrzyjmy kryjówki.

— Jakto kryjówki? — zadziwiła się Krysia.

— Ano, jest ich dwie przecież. Duża i mała.

Przyglądał się tatuś misternemu urządzeniu drzwiczek i mówił ze zdumieniem:

— Nielada majster był z naszego dziadunia. Trzeba teraz wyjąć pudełko i zobaczyć co tam jest wewnątrz.

Deremne życzenie. Pudełko, jak wrośnięte, opierało się wszelkim próbom, by je dźwignąć choć trochę.

— Pewnie jest przyśrubowane do podłogi. Spróbujmy otworzyć je bez wyjmowania. Stef, daj mi wszystkie klucze, jakie są w domu.

— Dobrze, tatusiu.

Lecz i ta próba nie dała żadnego rezultatu.

Z boku pudełka, na zwykłym miejscu, widać było duży otwór jakby do klucza, ale na tem koniec. Kładziono klucze jeden po drugim w ten otwór, kręcono — wciąż bezskutecznie.

Krysia i Anka desperowały.

— No i cóż teraz zrobimy, tatusiu?

— Doprawdy, nie wiem.

— A mnie się zdaje, że tam jeszcze jaki figiel nowy jest ukryty — wtrącił Stef.

— Wątpię. Zresztą być może.

Ojciec z dziewczynkami zajęli się oglądaniem portretów, Stef zaś wsunął się z powrotem do kryjówki.

— No i cóż? — zapytano go, gdy wyszedł.

Uśmiechnął się.

— Zobaczyłem coś nowego. W samym rogu pudełka jest maleńki, ale zdaje się głęboki otworek w kształcie gwiazdki. Czy tatuś dostrzeże go?

— Dostrzegłem. Ale jakież klucze tam wsuniesz — chyba szpilkę.

— Ej nie. Myślę, że klucze są tu blisko.

I Stef pobiegł do pudełka, w którym spoczywały paciorki.

Naszyjnik miał osobiwą spinkę wypukłą, z wystającą cieniutką rurką.

— Tatusiu, czy tatuś pamięta — rzekł Stef z uśmiechem — te słowa dziadka „Znajdźcie klucz do klucza“. Ja już dawno na tę szczególną spinę zwróciłem uwagę... Kto wie, może ona jest właśnie owym kluczem ukrytym?

Nie omylił się uważny chłopiec w swoich przypuszczeniach — spinka była kluczem otwierającym szkatułkę!

Przy migotliwym płomieniu świecy najpierw tatuś, a potem kolejno każde z dzieci badało wnętrze szkatułki.

Leżały tam poukładane jedno przy drugich stare rodzinne srebra; taca, lichtarze, nakrycia stołowe, leżały różne cenne klejnoty.

Zachwytem nie było końca.

— Znalezienie tego klucza, to już trzecie odkrycie — wyliczała Krysia. — A znowu wypadło na Stefka! Gdybym to ja odkryła, każdy miałby równą porcję.

Zaraz też, korzystając ze sposobności, opowiedziała tatusowi jak to Ance udało się także zrobić „odkrycie“. A tatuś słuchał, uśmiechał się i ze szczególnym uśmiechem patrząc na syna, powiedział:

— Taki wydajesz się rozważny, a jednak pudełko nie dostrzegłeś... No... no... Ale jakimże sposobem skrytka została odkryta. Tego mi dotychczas żadne z was jeszcze nie powiedziało.

— Bo my też same nie wiemy. Stef wszystko trzymał w tajemnicy.

— Tak, za to teraz wam wytłumaczę. Zdziwił mnie bardzo bezcelowy napozór układ paciorków. Czyż podobna, myślałem żeby je tak bez żadnego składu i ładu ponawlekano. Musi być w tem jakaś myśi ukryta. Zapamiętałem więc dobrze porządek, w jakim paciorki po sobie następowały, ale nic nie byłoby mi z tego przyszło, gdyby... gdyby... nie jedna z moich siostrzyczek... No, proszę zgadnąć która?

— Gdyby nie jedna z nas! Co ty mówisz? — wykrzyknęły jednocześnie obiedwie dziewczynki. Żartujesz chyba.

— Wcale nie. Dopomogły mi do rozwiązania tajemnicy lekcje z Anką — rzekł Stef uroczyście.

Anka oniemiała.

— Co? Lekcje ze mną! — zawołała po chwili.

— A tak. Przypomnij sobie, że zapomnieliśmy przywieźć z domu gramatykę francuską. Otóż przyszło mi na myśl, że może w bibliotece jaka się znajdzie. Szukałem, szukałem, przeglądałem potrochu inne książki i tym sposobem wpadł mi w ręce stary słownik francuski.

Stef pokazał małą zniszczoną książeczkę. Na okładce u góry, naklejony był wąski pasek z różnokolorowych skrawków papieru.

Wszyscy spojrzeli ciekawie na książeczkę, ale nikt nic jeszcze nie rozumiał.

Czwarta Publiczna 1-ma klasowa
Szkoła Powszechna w Gnieźnie
Nr. dz.

Więc Stef tak powoli mówił dalej:

— Przyjrzyjcie się naszyjnikowi uważnie. Porządek kolorów na pasku jest taki sam, jak paciorków w naszyjniku. Bez zmiany.

— Aha — przytwardziła Krysia — takuteńki. Pierwszy paciorek jest popielaty, pierwszy paseczek również... potem idzie zielony, potem w paseczki... zupełnie jak na tym pasku na słowniku.

— No, ale co to ma za związek z tajemnicą, Stefku?

— Zaraz tatusiowi powiem. To podobieństwo w układaniu kolorów zwróciło moją uwagę, zacząłem przeglądać słownik, bo jakiś głos wewnętrzny szeptał mi ciągle:

— Tam jest ukryta tajemnica dziadunia.

— Odczytywałem uważnie karta po karcie i...

— To pewnie dlatego zamykałeś się tak wciąż przed nami? — przerwała Krysia

— Dlatego, siostrzyczko. Długo jednak nie mogłem wpaść na ślad właściwy... Byłem zrozpaczony... Dopiero któregoś dnia, przygotowując się do lekcji z Anką, zacząłem powtarzać sobie nazwy tych kolorów po francusku. Było to przypadkowe... Nazwy jednego koloru nie wiedziałem — zdaje się, że to był zielonkawy — zaglądam więc do słownika i oto widzę nad właściwym wyrazem napisaną małą literkę...

— Patrzcie — tu Stef wyciągnął książkę —

wygląda jak punkcik, ledwo ją dostrzec można! Ach, jak ja się ucieszyłem! Taka mała literka, a tyle nam wyrządziła dobrego. Skoro raz wpadłem na ślad właściwy, wszystko dalsze poszło prędko. Przy nazwie każdego koloru wypisana była jakaś litera... Później zacząłem z tych liter układać wyrazy...

— To już pewno było łatwe.

— Oj nie, Aniu. Bo i w porządku liter kryła się zagadka. Kreśliłem i przekreślałem wyrazy... przedstawiałem litery w różny sposób, lecz bez skutku. Dopiero wczoraj zauważyłem, że na sznurku, na którym nawleczono paciorki, znajdują się małe supelki — o, widzicie — co drugi, co trzeci paciorek... I naraz błysnęła mi myśl, żeby w tym porządku z wynalezionych liter układać wyrazy.

— I ułożyłeś dobrze...

— Wcale nie. Ułożyłem i przeczytałem wyrazy jakieś bez sensu. Byłem zrozpaczony... Kiedy to się stało, tatuś pyta? — Zdaje się, że wczoraj... Coś mnie oderwało od roboty... aha... wypędzaliśmy krowę z ogrodu... Wracam przerażony, bo właśnie wtedy dostrzegłem ślady stóp pod oknami, zbieram papiery ze stolika, chcąc je schować i... i rzuciwszy okiem na wypisane litery, wypadkiem przeczytałem je od końca...

Tu Stef zatrzymał się na chwilę, a potem powiedział wolno i dobitnie:

— Oto słowa dziadunia: „Policz gwiazdki w lamperji jadalnej z lewej strony, zaczynając od okna, zakręć siedemnastą, a potem naciśnij ją wolno“...

— Zrobiłem to, drzwiczki odskoczyły i koniec wiadomy.

Tak odkrytą została tajemnica starego dworu.

* * *

— A jednak — mówił tatuś do mamusi w kilka dni później — gdyby nie zamięłowanie Stefa do książek, gdyby nie jego pamięć o danem przyrzeczeniu lekcji z Anką, tajemnica nie byłaby dotychczas rozjaśnioną.

K O N I E C.



88373